ŚWIATOWID

28 WRZEŚNIA 1935
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.20.
nr. 39

PRZED WOJNĄ WŁOSKO-ANGIELSKĄ?



Anglja koncentruje w gorączkowem tempie swą flotę wojenną na Morzu Śródziemnem, aby zabezpieczyć Gibraltar, Maltę i Kanał Suezki. Na zdjęciu olbrzym angielski „Rodney", należący do klasy super-dreadnoughtów, w drodze na Morze Śródziemne.

PODRÓŻ W NIEZNANE... NA ARMACIE!



Najpopularniejszy człowiek w Abisynji Sir Sidney Barton, poseł Wielkiej Brytanji, na przejażdżce w Addis-Abeda. Poza nim spahisi hinduscy. Associated Press Photo.



Komitet pięciu w czasie obrad w Genewie. Siedzą od prawej: Rucha Bey (Turcja), Laval (Francja), przewodniczący Madariaga (Hiszpanja) generalny sekretarz Ligi Narodów Avenol, Lord Eden (Anglja) i min. Beck (Polska). Scherl.

Jest głęboka symbolika w tem, że angielski minister spraw zagranicznych sir Hoare, który wygłosił w Genewie swą słynną „groźną“ mowę, cierpi na artretyzm, chorobę ludzi żyjących w dobrobycie i używających mało ruchu. Ojczyzna jego bowiem Wielka Brytanja, ciało ogromne i dobrze odżywione, zapada także bardzo często na obrzęki stawów, raz w Irlandji, drugi raz w Indjach, a jeszcze kiedyindziej w Londynie. Pomimo jednak tych niedomagań, Wielka Brytanja nie ma jeszcze zamiaru kłaść się do grobu, jak to sądzą Włosi, którzy już obecnie zgłaszają pretensje do spadku po tym bogatym wujaszku, posiadającym rozliczne włości we wszystkich częściach świata, a przedewszystkiem w Afryce.

Włosi zaś radziby się usadowić w Afryce, aby znaleźć teren dla swojej ekspansji. Poprostu Mussolini, będący wykładnikiem współczesnych Włoch, oświadcza, że i Włochom należą się jakieś kolonje. A ponieważ w całej Afryce jedna jedyna Abisynja (nie licząc operetkowej Liberji) zachowała niepodległość, przeto ona powinna paść ofiarą apetytów włoskich.

Mussolini jednak przeliczył się, przypuszczając, że artretyczna Anglja pogniewa się trochę, pozłości z powodu marszu italskiego na Addis-Abeba, ale wreszcie ustąpi, tak, jak to uczyniła np. w Mandżurji.

Dzisiaj sprawy zaszły już tak daleko, że w powietrzu czuć zapach prochu. Abisynja została usunięta w cień, a mówi się tylko o konflikcie włosko-angielskim. Anglja zgromadziła już na Morzu Śródziemnem znaczną część swej floty wojennej (144 jednostek morskich) zamknęła port w Gibraltarze, umocniła Maltę i sprowadziła do Egiptu 1.000 samolotów.



Sowa, jako maskota jednego z oddziałów włoskich, udających się na statku „Biancamanco“ z Neapolu na front abisyński. The New York Times.

Włosi znowu rozglądają się za ropą, bez której flota ich zarówno morska jak i powietrzna byłyby unieruchomione.

Obie strony są jak najlepszej myśli.

„Niech Bóg strzeże flotę angielską od spotkania ze straszliwą flotą włoską“ — pisze jeden z dzienników włoskich. — Publicysta zaś angielski odpowiada mu: „To prawda, że jesteśmy bezbronni, że okręty nasze są przestarzałe, ale trzy z nich wystarczą, aby zniszczyć całą flotę włoską“.

Zaczyna się więc wielka gra, podróż w nieznane... na armacie!

Podróżne zaś w nieznane obfitują w niespodzianki i są bardzo kosztowne Ekspedycja włoska kosztuje już obecnie około trzech miljardów lirów, choć operacje wojenne jeszcze się nie rozpoczęły. Ponieważ zaś niema mowy o uzyskaniu pożyczki zagranicznej, przeto Włosi rozpisali „dobrowolną pożyczkę“ wojenną i pocichu przechodzą na inflację.

Rozstrzygnięcie padnie w najbliższych dniach. Komitet pięciu ukończył już swoje narady i rezolucje swoje zakomunikował Włochom i Abisynji, ale, jak było do przewidzenia, Mussolini odrzucił je z miejsca, jako nie nadające się do dalszej dyskusji.

„Nie jestem zbieraczem pustyń“ — odpowiedział Duce, czyniąc aluzję do rezolucji Komitetu pięciu, który zaproponował Włochom oddanie im dwóch pustynnych skrawków Abisynji.

W Abisynji zaś podniósł się duch. Negus, czując za sobą szerokie barki angielskie, nie chce słyszeć o żadnych koncesjach dla Włochów, ale groźnie potrząsa włócznią i dokonywa przeglądu swych bosych żołnierzy.

Poza plecami zaś możnych tego świata snują się

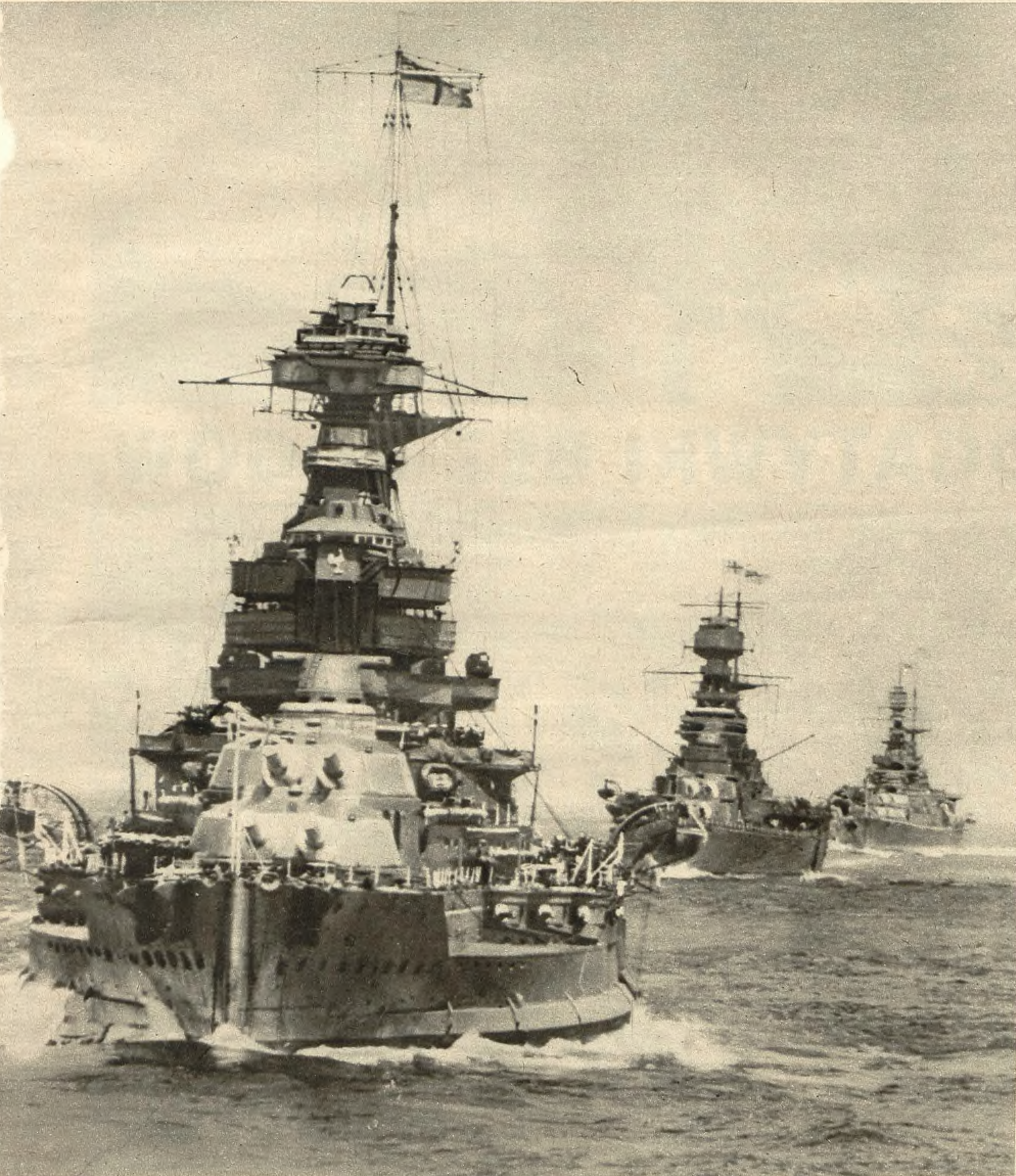


„Niech żyje Mussolini“! wołają żołnierze włoscy, odchodzący na front.





Leo Chertok, przedsiębiorca żydowski, który podobnie jak Rickett uzyskał od rządu abisyńskiego koncesję na eksploatację nafty, za którą zapłacił miljon dolarów. The New York Times.



Trzy angielskie olbrzymy na Morzu Śródziemnem. Pierwszy z nich, to pancernik „Valiant", spuszczony na wodę w 1914 r., o pojemności 33.000 ton, poza nim największy pancernik świata „Hood", o wyporności 42.000 ton. Maszyny tego krążownika posiadają 151.000 HP. Zasiąg bez uzupełnienia paliwa 7.000 km. Trzeci z rzędu to pancernik „Renown".

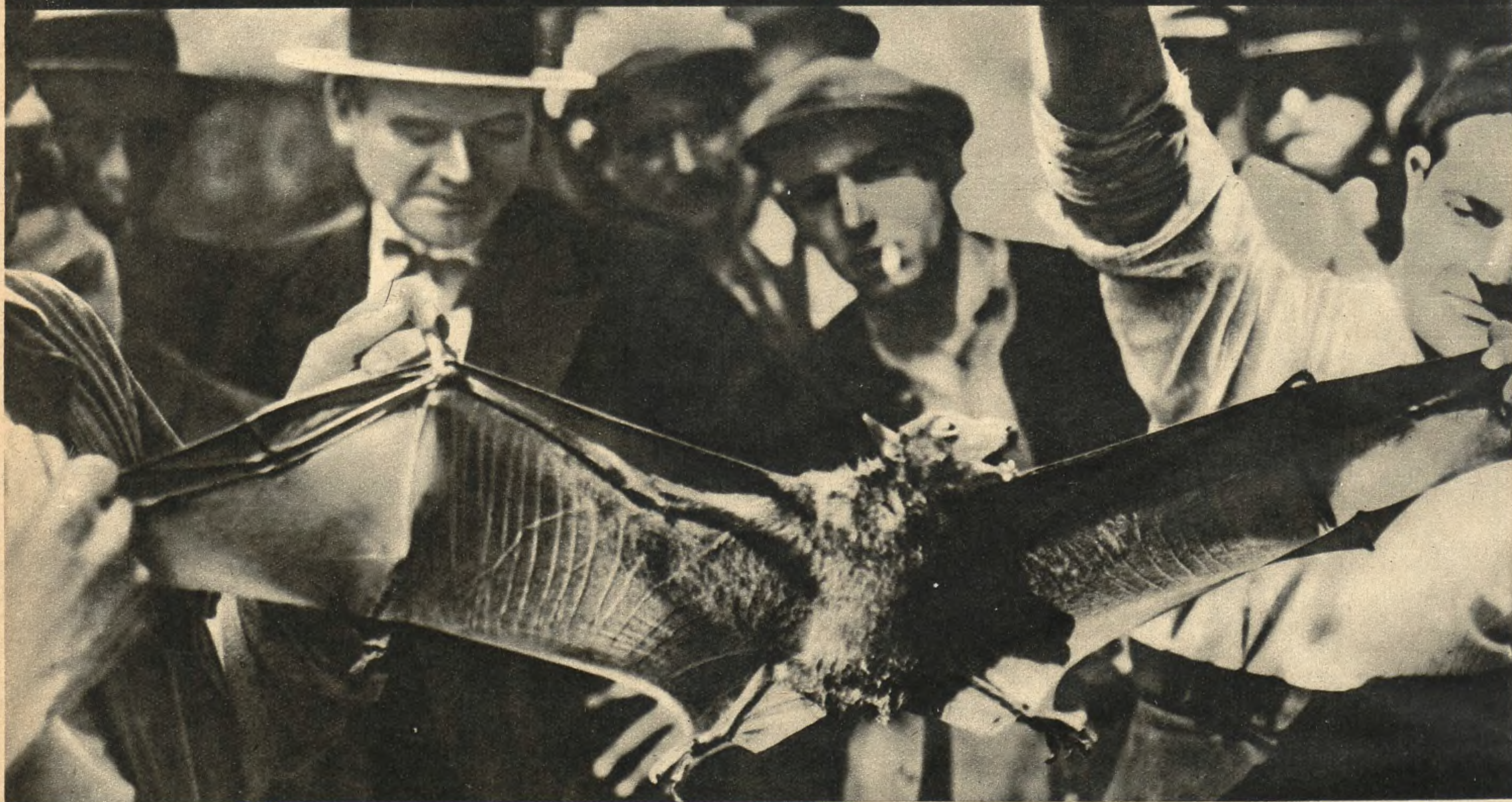


Na ostatniem posiedzeniu Ligi Narodów, Włosi przedłożyli fotografje ilustrujące barbarzyństwo abisyńskie. Na zdjęciu jeden z tych „dokumentów hańby", jak je nazywa prasa włoska, przedstawiający złodzieja abisyńskiego, któremu za karę odcięto nogę. Fot. A. Arthur — Nice.

różne podejrzane figury, usiłujące w mętnej wodzie łowić ryby. Należą do nich osoby w rodzaju Ricketta i Czertoka, którzy chwalą się, że uzyskali od negusa koncesje naftowe. — Niech się świat kłóci i bije, zyski i tak popłyną do ich kieszeni. Oni bowiem reprezentują kapitał, a kapitał rządzi światem.

J. L.

STUPROCENTOWY WAMP.



Obok wampirów z ekranu w rodzaju Marleny Dietrich, czy Jean Harlow, istnieją jeszcze wampiry prawdziwe, naprawdę stuprocentowe, bo żywiące się krwią zwierząt a nawet ludzi. Ojczyzną tych ciekawych zwierząt jest Ameryka Środkowa. Jednego z takich wampirów schwytano i przywieziono do Paryża, gdzie nabył go uliczny sprzedawca i wystawił na sprzedaż, żądając za niego 450 fr. Tani wamp! *Presse-Photo.*

FILIPINY NA DRODZE DO WOLNOŚCI



W 1945 r. Filipiny, które dotychczas należały do Stanów Zjednoczonych A. P. uzyskają zupełną niepodległość. Już teraz związek tego egzotycznego kraju z Ameryką jest bardzo luźny, 15-go zaś listopada zostanie utworzony pierwszy rząd samodzielnych Filipin. Głową tego nowego państwa jest Manuel Quezon, wybrany niedawno prezydentem. *Scherl.*

ROGATYWKI BEZ ROGÓW.



Najbardziej charakterystycznym szczegółem umundurowania każdej armji są czapki. Pruska pikelhauba, rosyjsko-kozacka papacha, czy włoski kapelusz bersaljerów z koguciemi piórami przeszły do historji, jako atrybuty narodów. Nasza polska rogatywka także zrosła się nierozerwalnie z pojęciem Polaka. Nosi ją też żołnierz polski od zarania naszej Niepodległości. Krój jednak rogatywki zmienia się niespostrzeżenie w ciągu lat. Przedewszystkiem czas przycina rogatywce rogi, które stają się coraz krótsze. W nowych czapkach, jakie wprowadzono w armji polskiej, rogatywki upodabnia się coraz bardziej do dawnej czapki austrjackiej, względnie legjonowej z brygady karpackiej. Jest wykonana całkowicie ze sukna i posiada klapy, które w zimie można opuszczać na uszy i twarz. Na zdjęciu oddział 20-go pułku piechoty, odpoczywający po ćwiczeniach w Przegorzałach pod Krakowem. Wszyscy żołnierze są już w nowych czapkach.



PROFIL MARSZAŁKA NA LOFOTACH.



P. W. Janus z Bofors w Szwecji nadesłał nam niezmiernie ciekawą fotografję zrobioną w Troldfjord na Lofotach (Norwegja). Fotografja ta przedstawia fjord a na horyzoncie ośnieżone góry. Pasmo tych gór tworzy profil Marszałka Piłsudskiego, o zdumiewającem wprost podobieństwie.

⟵

Ta sama fotografja odwrócona o 90 stopni. Teraz jeszcze lepiej rysuje się spiżowa twarz Marszałka.

Fot W. Janus — Bofors (Szwecja).

POLSKI MARATON.



Dnia 22 b. m. odbył się w Warszawie ze startem i finiszem na Okęciu bieg maratoński o mistrzostwo Polski, w którym zwyciężył Przybyłko (Skra) w 2 godz. 51 min. i 16 sek. W roku ubiegłym pierwsze miejsce zajął Garncarz z Pogoni lwowskiej. Zainteresowanie biegiem było duże a Przybyłkę (na zdjęciu) na mecie gorąco oklaskiwano.

Ag. Fot „Światowid".

WIELKIE ŁOWY W PUSZCZY RUDNICKIEJ.

ZDJĘCIA WŁ. KORSAK



Sztandar P. Prezydenta nad dachem dworku w Sędkowie.



Puszcza Rudnicka.

Nad dachem dworku myśliwskiego w Sędkowie zatrzepotał na wietrze sztandar Prezydenta. Wyprężyła się na baczność, sprezentowała broń warta gajowych przy ganku. Do dworku przybył Dostojny Gość z małżonką, by tu w sercu prawiecznej kniei wytchnąć chwilę i umysł rozerwać łowami na królewskiego zwierza — łosia, kryjącego się tutaj w mrocznych ostępach, wśród nieprzebytych bajorów i haszczów.

Od paru tygodni gajowi i strażnicy leśni usłyszeli łosiowe „rżenie". Dziwny głos, niby stękanie, niby westchnienie głębokie. To w czasie rykowiska, które przypada na wrzesień łoś wyzywa na bój śmiertelny rywali. Wtedy poluje się na nie, w ten sposób, że wabiarz na przemyślnej trąbie z kory brzozowej naśladuje stękanie — zew bojowy byka. Na głos ten pędzi łoś, pełen zapału do walki i... pada pod kulą człowieka. Wabienie nie jest łatwe. Trzeba zawczasu ustalić, czy łosie odpowiadają na wab, odnaleźć miejsce rykowiska, zbadać przejścia i przesmyki. P. Wł. Korsak (znany pisarz łowiecki) łowczy D. L. P. w Wilnie, leśniczy miejscowy p. St. Ołdak od paru tygodni przygotowywali ucztę łowiecką dla P. Prezydenta.

Ileż bowiem emocji kryje się w tem oczekiwaniu wśród ciszy niemal uroczystej, w samem sercu puszczy. Gdzieś obok z trąby wabiarza lecą w przestrzeń dziwne dźwięki. Odpowiada im z głębi ostępów wezbrany namiętnością zew-rżenie byka. Wysuwa się z gąszcza wspaniały łeb, chrapy, potężne poroża...



P. Prezydent Rzplitej wyrusza na łowy z dworku myśliwskiego w Sędkowie.



Niezrównany wabiarz łosi Nielubowicz, wywodzący swój ród z kniaziów.



P. Prezydent Rzpltej z generalnym łowczym Rzeczypospolitej inż. Knote i nadleśniczym Sikorskim jedzie na polowanie.



Łoś, zabity przez P. Prezydenta.

Pan Prezydent ma doskonałego wabiarza, słynnego z tej specjalności Nielubowicza, pono z kniaziów litewskich ród swój wywodzącego. Ma tylko jedną wadę. Starość mu przytępiła słuch. Dopełnia go więc leśniczy Ołdak, który chociaż gorzej wabi, słuch ma wyborowy.

Na zachód od Sędkowa sosnowy bór przechodzi w typowy litewski „rojst", kędy można przejść wyłącznie po kładkach z okrąglaków, uginających się pod ciężarem idącego jak klawisze. Wśród bagna trafiają się zrzadka suchsze pagóry. Z jednego z nich, Porakiecia, w nocy straż leśna słyszała stękanie łosia. Około innego, Niedźwiedziej Budy, też. Tam o wczesnym świcie, przy tak zwanym „budanie" zajął Dostojny Myśliwy stanowisko. Gpodal kucnęli leśniczy z wabiarzem, jedyni towarzyszący. W puszczy wstawał pogodny dzień jesienny. Mgła poranna unosiła się nad wierzchołkami sosen. Łoś jednak nie odezwał się. Panu Prezydentowi przypadło w udziale wyłącznie spędzenie miłego poranka w lesie.

Wieczorem znowu Dostojny Gość udał się na stanowisko. Znowu samotny. — O trzydzieści kroków dalej Nielubowicz wabił. Teraz usłyszano łosia. Słychać było tętent króla puszczy, trzask łamanych gałązek. Podszedł blisko, ale zrazu stanął za poroślami brzózek i świerków; strzał nie był dogodny. Pan Prezydent z zimną krwią wytrawnego myśliwego wyczekał, aż łoś wysunął się z krzaków w całej okazałości. Runął w puszczę strzał. Śmiertelnie ranny zwierz upadł. Puszcza złożyła swą dań Włodarzowi Rzeczypospolitej...

Puszcza Rudnicka w powierzchowności swej nie ma charakteru kniei prawiecznej, Piastowskiej. Raczej przypomina lasy dalekiej północy. Ciągną się setkami hektarów moczary porosłe karłowatą sośniną, świerkami, olszą i brzozą. Roślinność zwarta, górą zielona, dołem czarna błotem. Gdzieniegdzie błyszczy lusterko leśnego jeziorka, lub sterczy piaszczyste wzgórze, a na niem wyniosłe sosny i smukłe wieżyce świerków. Zwierzyny tu sporo. Są sarny, wilki, dziki. Na jeziorkach i stawach leśnych obfitość ptactwa. Wreszcie tajemniczy dziwny król puszczy, pan mrocznych ostępów — łoś.

Niewielka stosunkowo odległość od stolicy — Wilna była przyczyną, że niegdyś wielcy książęta litewscy, później królowie polscy zjeżdżali tu na łowy. Szczególnie wspaniałe były za Zygmunta Augusta. Obecny na jednem z nich poseł francuski pisze, iż żaden z ówczesnych monarchów europejskich nie miał takiego rozkładu zwierzyny. Ostatni polował tu Stanisław August Poniatowski, który — „własną ręką byka-łosia ogromnego zabić raczył".

Może na miejscu dzisiejszego Sędkowa miał tu Zygmunt Stary pałacyk myśliwski? Może tu zatrzymał się kondukt żałobny Barbary Radziwiłłówny, poprzez puszcze i bory zdążający z Krakowa ku Wilnu? Z czasów co dawno minęły, dziś nie pozostało żadnego śladu, tylko wspominają o tem odwieczne karty zżółkłych foljałów kroniki.

Obecny dworek myśliwski Pana Prezydenta, który bardzo lubi tę miejscowość, nazwę swą wywodzi od dowódcy jednego z licznie kryjących się w puszczy oddziałów powstańczych — Sędka. Sędek w r. 1863 w tych okolicach rozbił na głowę oddział Pawłowskiego pułku rosyjskiej leib-gwardji. W bitwie padł komandir Arbuzow, po którym do dziś dnia zachował się pomniczek — pamiątka walk o niepodległość.

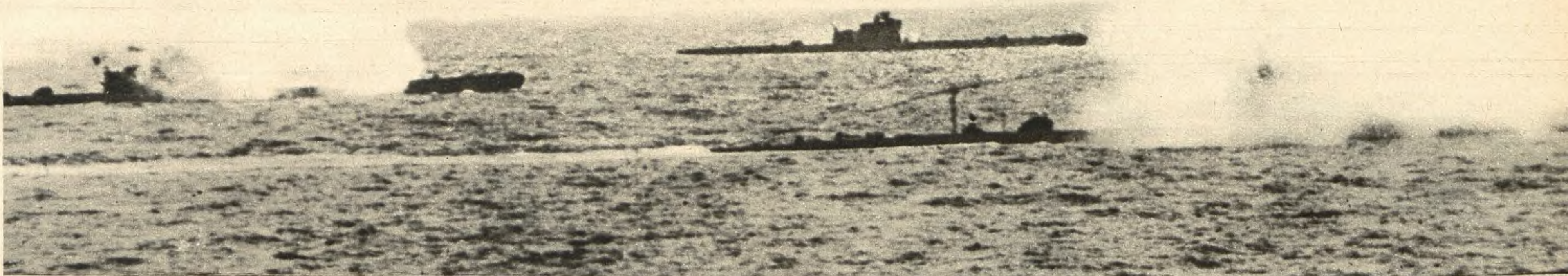
Przeszły lata, majestat Rzeczypospolitej dawną jaśnieje chwałą. Zgodnie z tradycją znów zjeżdża na łowy jakim równych w Europie niema, Głowa Państwa. Szumią dlań hejnałem powitalnym drzewa, puszcza wita swego Włodarza i składa przed Nim dar najwspanialszy ze swych bogatych zasobów.

Dworek znowu samotny. Wspaniałe samochody uwiozły Pana Prezydenta do dalekiej Warszawy. Pozostały tylko w księdze pamiątkowej skreślone Jego ręką wyrazy: TYM RAZEM DOZNAŁEM W PUSZCZY ZUPEŁNIE ZADOWALAJĄCEGO SZCZĘŚCIA. — IGNACY MOŚCICKI.

Wilno, wrzesień 1935.

M. Surwiłło, Wilno.

WOJENNA FLOTA WŁOSKA



Manewry włoskich łodzi podwodnych.

Widmo wojny włosko-angielskiej czyni aktualnem pytanie, jak się przedstawia stosunek sił morskich tych obu krajów. Otóż wedle statystyki z 1929 r. włoska flota wojenna jest co do wielkości czwartą zrzędu, ustępując Stanom Zjednoczonym Ameryki (1,252.494 tonn i 94.148 załogi), Wielkiej Brytanji (1,186.000 tonn i 98.000 załogi), Japonji (657.155 tonn i 135.286 załogi), liczy bowiem 350.000 tonn i 43.260 załogi. Zaraz poza Włochami idzie Francja (289.070 tonn i 25.500 załogi), oraz Argentyna (158.000 tonn i 7.837 załogi).

Większość okrętów włoskich została zbudowana przed wojną. Należą do nich „San Giorgio" i „Pisa", do powojennych zaś „Bolzano", „Cara", „Fiume", „Gorizia", „Pola", „Trento", „Trieste". Z mniejszych krążowników zbudowanych już po wojnie, Włochy posiadają trzynaście nowocześnie urządzonych a pozatem większą ilość torpedowców i lżejszych okrętów, z których jedynie „Navigatori", „Leone", „Dardo", „Turbine" itd. zbudowane są po r. 1920. Poza tem flota włoska rozporządza 78 łodziami podwodnemi, z których 21 zbudowanych zostało po r. 1920. Ostatnio według planu dawno powziętego, flota włoska wzbogaciła się o 2 okręty wojenne, każdy po 35.000 tonn, które 28 października ub. roku tj. w rocznicę marszu faszystowskiego na Rzym zostały spuszczone w Trieście i w Genui na wodę. Są to „Vittorio-Veneto" i „Littorio". A teraz jak przedstawia się flota wielkobrytyjska w chwili obecnej? Podczas olbrzymiej rewji sił zbrojnych na morzu w Spithead, która odbyła się w lipcu br. możnaby było zdać sobie sprawę z jej obecnego stanu.



Angielski pancernik „Nelson".

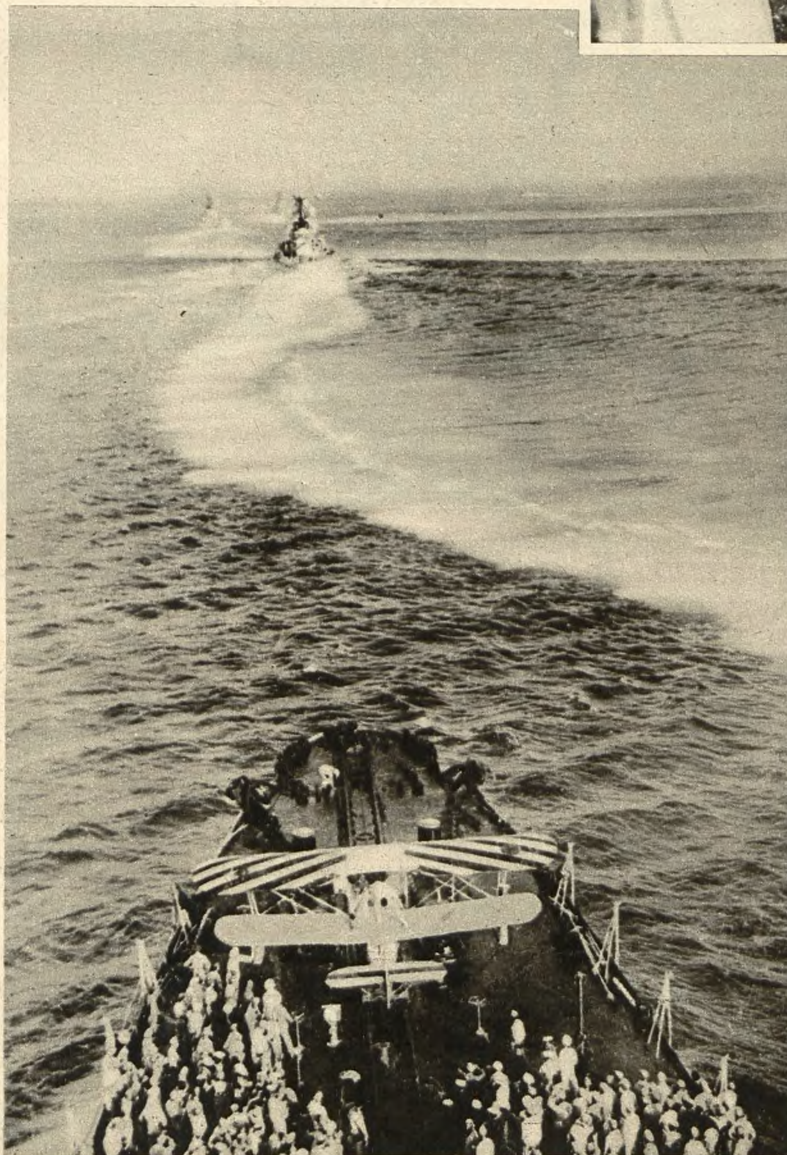


Z manewrów floty włoskiej: wyławianie torped.

Prasa podnosiła wtedy, iż flota angielska jest już przestarzała, ale czyniła to dlatego, aby parlament tem chętniej uchwalił 100 miljonów funtów na jej odnowienie.

Porównując suche dane statystyczne, które oczywiście niezawsze dają precyzyjny obraz sytuacji, gdyż trudno w te ramy ująć zalety lub wady załogi oraz dowództwa floty, można stwierdzić, że aczkolwiek flota brytyjska góruje nad flotą Italji, to przewaga jej nie jest tak przygniatająca jakby się tego można było spodziewać. Wchodzi tutaj w grę oczywiście położenie geograficzne ewentualnych terenów przyszłej walki, tak bardzo oddalonych od Anglji, jakoteż okoliczność, że Anglja z powodu swoich licznych kolonij musi trzymać pewną część floty w pogotowiu na wypadek, gdyby tym lub innym "wiernym poddanym" króla angielskiego, np. Hindusom przyszła fantazja wykorzystania trudnej sytuacji i zrobienia buntu. Ważnym momentem oczywiście jest bojowa sprawność marynarki. Okaże się wkrótce, czy odrodzenie Włoch przez faszyzm jest naprawdę szczere i głęboko sięgające, czy też ogranicza się do napuszystej frazeologji, którą trudno przeciwstawić angielskim armatom.

Jan Maleszewski.



Flota włoska wojenna w szyku bojowym w pobliżu Neapolu.

Ze Słowaczyzny.



Zamki orawskie: widok z górnego zamku na średni i dolny, oraz na rzekę Orawę.

Nad Orawą na linji kolejowej, idącej od Suchej Hory do Kralowan, będącej przedłużeniem polskiej linji kolejowej Nowy Targ — Czarny Dunajec — Podczerwone, na wyniosłej, przeszło 100 metrów wysokiej skale wznosi się wspaniały zamek, zupełnie dobrze zachowany — to Zamki Orawskie. Zamek ten składa się z trzech zamków w trzech kondygnacjach położonych, górnego, średniego i dolnego, stąd też nazwa w liczbie mnogiej. Zamek górny jest zamkiem najstarszym. Mgliste mamy wiadomości co do założenia tego najstarszego zamku, ponoć istnieć miał on w wieku XI i założyć go mieli Templarjusze. Dokładnie wiemy, że w wieku XIII nabył ten zamek król Bela IV od rodziny Balaszów. Zamek średni pochodzi z XIV wieku, dolny wybudowany został już w okresie renesansu w wieku XVI. Burzliwe były dzieje tego grodu, zmieniali się jego właściciele i to niezawsze dobrowolnie. Władali tu nim magnaci polscy przez cały wiek XV jako „hrabiowie na Orawie", później rodziny węgierskie Thurzów, Thokölych, aż wreszcie zajęty w XVIII wieku przez Austrjaków, obrabowany przez wojska cesarskie, traci swe znaczenie i na tym zamku, który gościł królów Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego, który widział rycerzy naszych z pod Wiednia wracających, życie powoli zaczyna zamierać.

Ślady tej wspaniałej przeszłości znajdziemy w muzeum orawskiem, które się w zamku znajduje. Muzeum to oprócz zbiorów, złączonych z historją zamku, ma o wiele bogatszy dział przyrodniczy.

* * *

Po drugiej stronie Tatr, na południowy-wschód od Tatr Wysokich i Bielskich leży inna ziemia, związana z dziejami naszemi — to Spisz! W roku 1412 król Władysław Jagiełło pożycza cesarzowi i królowi Węgier Zygmuntowi Luksemburskiemu 37.000 kóp groszy praskich, otrzymując tytułem zastawu 16 miast Spisza.

Z zastawionych miast utworzone zostaje starostwo spiskie z siedzibą starosty na zamku w Lubowli. I ciągnie się teraz długa lista starostów spiskich, przeważnie sławnych ludzi, Zawisza Czarny, Oleśnicki, Kmita Piotr, Kasper Maciejowski, Lubomirscy. Ci ostatni są starostami spiskimi przez półtora wieku. W roku 1591 nabywa Sebastjan Lubomirski, niejako założyciel potęgi tego rodu, od Kaspra Maciejowskiego starostwo spiskie (nabył również wtedy do Maciejowskiego dom w rynku krakowskim, po dziś dzień Pałacem Spiskim zwany). Ostatnim starostą na Spiszu jest najstarszy brat króla Stanisława Poniatowskiego, Kazimierz. W roku 1769 wojska Marji Teresy zajmują Spisz i jest to jakby już początek rozbioru Polski.

Do ciekawszych ruin zamków poza ruinami w Lubowli należy Zamek Spiski w Podgrodziu. Zamek ten dał nazwę całej krainie. Ruiny tego olbrzymiego zamku, wzniesionego na wzgórzu przeszło 600 metrów wysokiem, oddalonem od Podgrodzia o jakieś półtora kilometra, dominują nad całą okolicą.

Początek jego jest również jak i Zamków Orawskich dokładniej nam nieznany. Pierwszą wzmiankę mamy z początku XII wieku, gdy był na tym zamku brat króla Stefana II, ks. Borys. Historja jego jak zresztą prawie wszystkich zamków na Spiszu pełna walk nieustannych. Podgrodzie należało do tych 16 miast Polsce zastawionych, ale na Zamku Spiskim siedzieli namiestnicy węgierscy, hrabiami spiskimi zwani, którzy często nawet boje staczali ze starostami spiskimi. Żyły tu rodziny Zapolyów, Thurzów, Csàkych. Na zamku tym przyszedł na świat późniejszy król Jan Zapolya i siostra jego Barbara, przyszła królowa polska, pierwsza żona Zygmunta Starego. W grodzie tym trzymały się do roku 1710 załogi Rakoczego, w roku 1780 pożar niszczy zamek spiski i gród rozpada się w ruinę.

Koło Podgrodzia, w polu, otoczona murem, przy drodze idącej do Lewoczy leży Spiska Kapituła. Kościół katedralny, który przewodniki węgierskie przed wojną zaliczały do jednego z najstarszych na Węgrzech, mimo obwarowania, częstym ulegał napadom i zniszczeniom. Zbudowany w początku XII wieku zachował po dziś dzień romańskie mury, wieże, później attyką renesansową ozdobione. We wnętrzu katedry na uwagę zasługują rzeźby w ołtarzach, kilka z nich przypisują nawet dłutowi Wita Stwosza, raczej jednak są dziełem Stwoszowych uczni.

Oddalona od Podgrodzia o kilka zaledwie kilometrów leży może jedno z najpiękniejszych miasteczek, „spiskim Krakowem" zwana — Lewocza. Do dzisiaj zachowały się stare obronne mury, rynek otoczony rzędem kamienic o renesansowych i barokowych frontonach. Robi to wszystko tak piękne wrażenie, że dziwić się nie można, iż widok tego miasteczka natchnął Jokaya do napisania tej znanej historycznej powieści „Biała pani z Lewoczy". Ale najpiękniejszym jest ratusz. Na specjalną uwagę zasługuje jeszcze kościół św. Jakóba, gotyk z XV wieku, z wspaniałemi rzeźbami w głównym ołtarzu ucznia Wita Stwosza, mistrza Pawła z Lewoczy. Ołtarz sam jest ogromny, 19 metrów wysoki. Lewocza nie należała do zastawionych Polsce miast, ma jednak w historji swojej dnie z naszemi dziejami złączone. Tu w r. 1494 odbył się słynny zjazd króla Olbrachta z braćmi swymi, królem Władysławem i królewiczami, kardynałem Fryderykiem, Aleksandrem i Zygmuntem, tutaj goszczono wracającego z pod Wiednia Sobieskiego, którego wojska ciągnęły z wiedeńskiej potrzeby przez Spisz i przez Orawę do Polski.

Piękny jest Spisz i Orawa, wracając stamtąd ma się ochotę zachęcać wszystkich do zwiedzania tego cudnego kraju, a komu czas pozwoli niech jedzie jeszcze w Liptów do Rużomberku, by zobaczyć choć przez chwilę w farnym rużomberskim kościele wspaniałą twarz człowieka, który całe życie dla sprawy swej ojczyzny poświęcił, którego więzili Węgrzy, Czesi — bohatera Słowaków, księdza Andrzeja Hlinkę.

Zbigniew Danielak (Kraków).

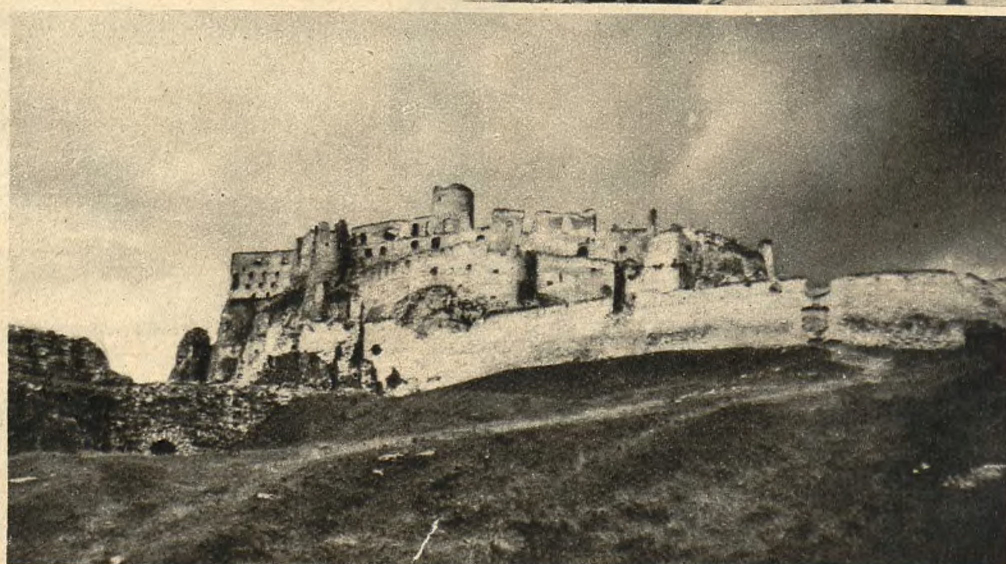


Ks. Andrzej Hlinka, wódz narodowy Słowaczyzny, w towarzystwie młodych cyganów.



Ratusz w Lewoczy, na którego architekturze widoczny jest wpływ renesansu krakowskiego.

Młoda para słowacka w ślubnym stroju.

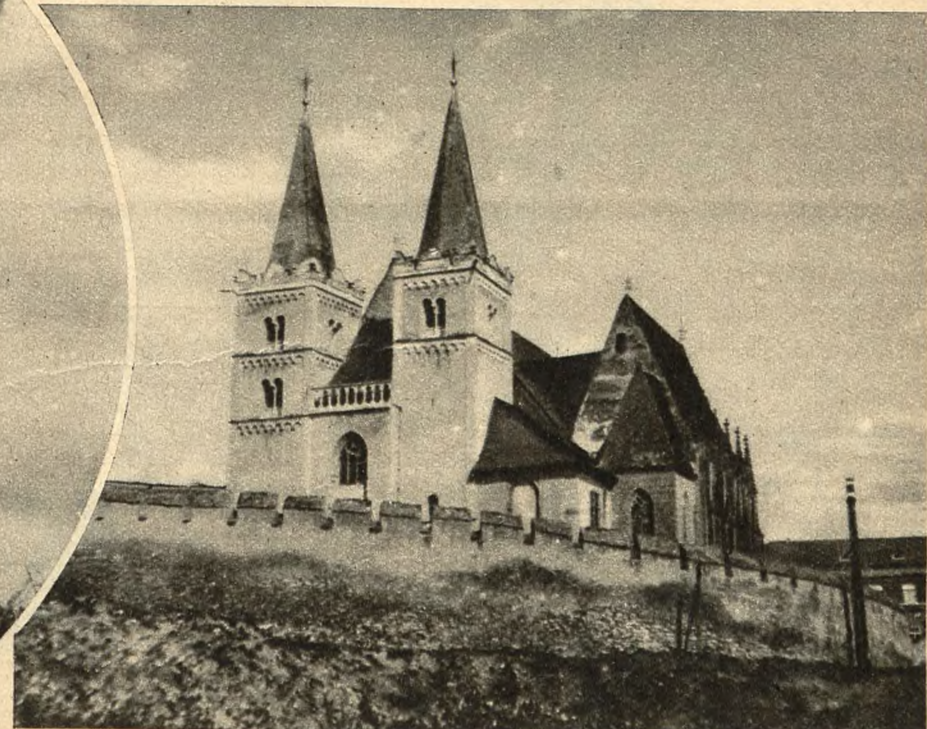


Zamek Spiski, koło Podgrodzia spiskiego.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA
FOT. ZBIGNIEW DANIELAK



Dziecko w narodowym stroju słowackim.



Kapituła Spiska koło Podgrodzia.

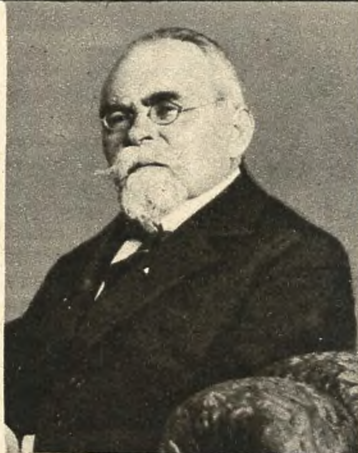
PŁYNĄ TŁUMY NA SOWINIEC.



Na Sowiniec przywieziono ziemię z pobojowiska Zadwórzańskiego w Małopolsce Wschodniej, gdzie kwiat młodzieży polskiej padł na polu chwały w 1920 r. Ziemię tę umieszczono w urnie w kształcie granatu, jak to widać na zdjęciu.

ZGON BUDZICIELA POMORZA

W Grudziądzu zmarł w 70-tym roku życia śp. Wiktor Kulerski, b. senator Rzeczypospolitej i wydawca „Gazety Grudziądzkiej", pisma, które za czasów niewoli utrwalało polskość na Pomorzu. Za działalność swoją patrjotyczną był ś. p. Kulerski więziony przez Niemców. W r. 1920 objął stanowisko polskiego komisarza granicznego i stał na czele komisji, która wytyczała granicę polsko-niemiecką.



HURAGAN NAD ANGLJĄ.



Nad południową Anglją szalał huragan, który wyrządził ogromne szkody. Szczególnie ucierpiały miejscowości kąpielowe, gdzie wiele domów zostało zupełnie zdemolowanych. Huragan pozrywał także przewody telefoniczne i telegraficzne, wskutek czego akcja ratunkowa była bardzo utrudniona. Wiele statków, szczególnie lżejszych, z trudem tylko zdołało dobić do brzegu. Wzburzone fale morskie zalewały drogi. Na zdjęciu auto, poruszające się z trudem w czasie nawałnicy po nadmorskiej autostradzie. Scher.

V. MIĘDZYNARODOWY KONGRES TOW. OGRÓDKÓW DZIAŁKOWYCH W POZNANIU.



Fragment jednego z ogródków działkowych w Poznaniu



Na Kongresie poznańskim przewodniczył prezydent Międzynarodowego Związku Ogródków Działkowych p. Goemaer z Belgji, który oddawszy hołd pamięci Marszałka Piłsudskiego wspominał także o nieodżałowanej królowej Astrid, która była niezmordowaną opiekunką ogródków działkowych w Belgji.

Wszystkie zdjęcia Ag. Fot. „Światowid".



Z okazji Kongresu odbył się pochód propagandowy w Poznaniu Na zdjęciu grupa szamotulan w ludowych strojach.



Hodowla inwentarza żywego jest obok ogrodnictwa drugiem zamiłowaniem działkowców. Hoduje się przeważnie króliki (na zdjęciu) i drób.

Poznań, we wrześniu.

Na peryferjach miasta Poznania, na przestrzeni kilkunastu tysięcy metrów kwadratowych, rozciągają się około rogatek miejskich ogrody z altanami. To ogródki działkowe, w których właściciel, przeważnie robotnik czy rzemieślnik, spędza wszystkie swe wolne od pracy chwile przez prawie cały rok. Tu spotykają się ludzie w godzinach popołudniowych, dzieląc się swemi zmartwieniami i radościami. Właściciel-działkowiec na terenie swego ogrodu przestaje myśleć kategorjami pracownika fizycznego, on tutaj martwi się tylko tem, że agrest nie obrodził wskutek suszy, że owoc ucierpiał znacznie z tej samej przyczyny, i zastanawia się, czy jabłka zimowe obrodzą gęsto? Robotnik czy rzemieślnik tu w swym ogrodzie oddycha ciepłem powietrzem, tu jest swobodnym obywatelem, od nikogo niezależnym.

Niedoceniane w początkach założenia tendencje ogródków działkowych rozrosły się w potężny ruch społeczny. Ruch ten w Polsce szybko znajduje poparcie u licznych zwolenników. — Polska liczy teraz 38.500 działkowców, zorganizowanych w 180 towarzystwach. Na czele tych towarzystw kroczy Poznań, liczący 5.827 działkowców, skupiających się w 25 wielkich ogrodach działkowych. Z cyfry 5.827 działkowców 30 procent to robotnicy i rzemieślnicy, 27 procent urzędnicy państwowi i prywatni, reszta to inne zawody, wśród których nie brak również zawodów wolnych.

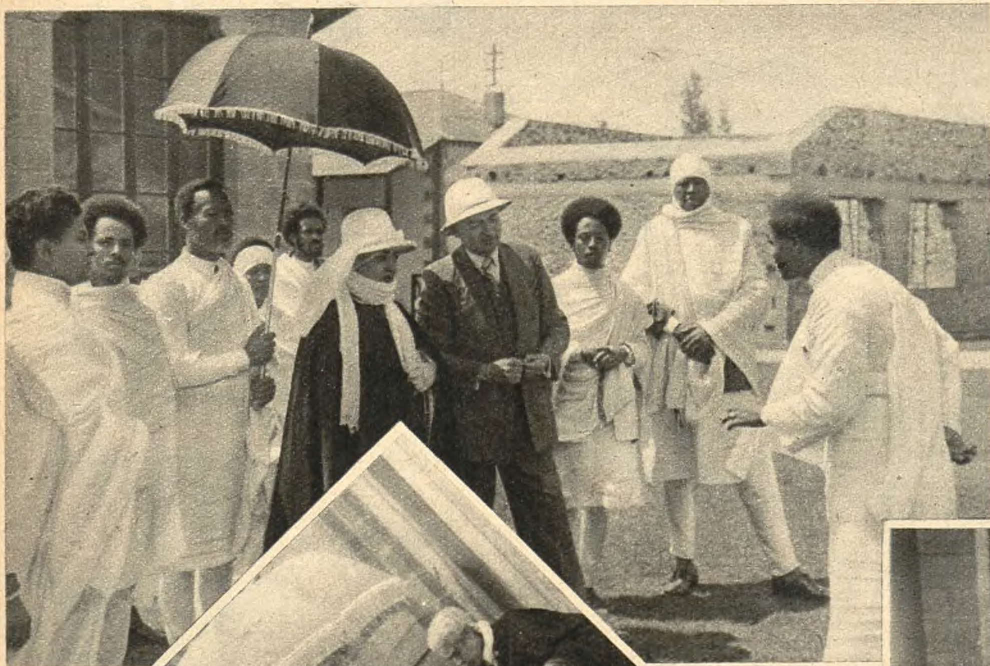
Polska w roku 1928 przystąpiła do Międzynarodowego Związku Właścicieli Ogródków Działkowych, wysuwając się wkrótce, dzięki ruchliwości swych kierowników, na czoło tego związku. Dowodem tego był Międzynarodowy Kongres Właścicieli Ogródków Działkowych, który w dniach 21—23 września obradował w Poznaniu. Kongres ten, piąty z rzędu, organizowany w Polsce przed Anglją, Francją i Włochami, był wyrazem uznania związku dla wartości nowych i świeżych, jakie Polska wniosła w ruch działkowy.

W kongresie wzięło udział szesnaście państw europejskich. Z ramienia Rządu Rzeczypospolitej uczestniczył wicemin. Opieki Społecznej Dr. Jastrzębski, który dokonał otwarcia Kongresu i otwarcia zorganizowanej w ramach kongresu wystawy ogródków działkowych. Rząd Rzeczypospolitej docenia bowiem znaczenie ogródków działkowych, — zwłaszcza w dziedzinie opieki społecznej, wiedząc, że robotnik, którego energja znajdzie upust w pracy w ogrodzie, stanie się obywatelem niepodatnym na wszelkie złe zakusy.

Duże znaczenie posiadają takie „małe osiedla", polegające na wybudowaniu tanim kosztem, często przy pomocy samorządu, jak to ma miejsce w Poznaniu, małych domków familijnych z odpowiednim obszarem roli, na której gospodaruje właściciel osiedla — bezrobotny. Ta rola żywi go. Hoduje on inwentarz drobny, który sprzedaje, zyskując w ten sposób grosz na najniezbędniejsze potrzeby. Właściciel osiedla nie wyciąga ręki po pomoc, on wie, że szukanie pomocy w jego warunkach byłoby poniżeniem. Ambicją jego jest rola, która karmi jego i jego rodzinę.

H. S.

POPOŁUDNIOWA HERBATKA U CESARZA ABISYŃSKIEGO.



(Od naszego specjalnego korespondenta Kpt. H. R. THOMSONA)

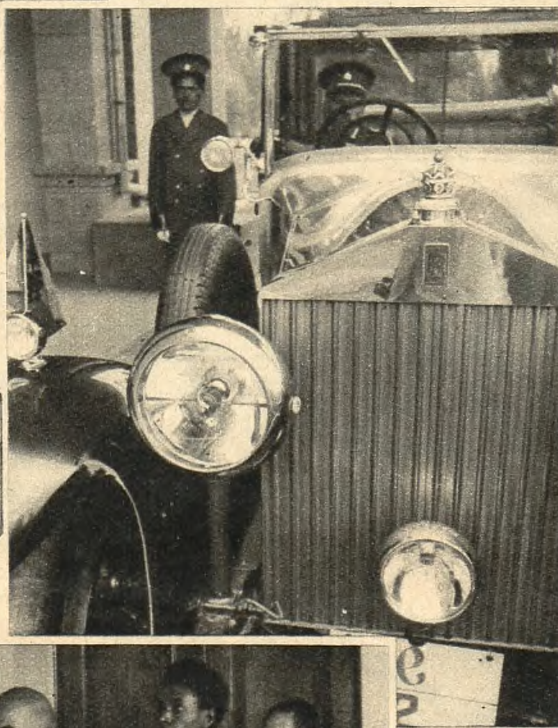
World Copyright 1935 by COOPERATION.

Wszystkie zdjęcia ASSOCIATED PRESS PHOTO.



Cesarz abisyński z karabinem na ramieniu, na znak gotowości bojowej.

Cesarzowa abisyńska z konsulem szwedzkim dr. Hannerem.



Cesarski samochód, luksusowy Rolls Royce.



Cesarska służba. Chodzenie boso w Abisynji nie należy uważać za dowód ubóstwa. Abisyńczycy bowiem łatwo odparzają sobie nogi i są wtedy niezdolni do marszu, boso zaś poruszają się jak jelenie.

Addis-Abeba, 26 sierpnia

Gdy wielki zamknięty samochód wjeżdżał przez bramę ogrodową do parku pałacu cesarskiego, ubrani w mundury „khaki" kroju angielskiego dwaj żołnierze, trzymający wartę, sprezentowali broń. Honory te otrzymują wszyscy goście cesarscy bez różnicy, czy są obcymi posłami, oficerami w uniformach, czy też zwykłymi śmiertelnikami europejskimi, ubranymi po cywilnemu. W parku, stylem angielskim urządzonym, ćwiczą właśnie na europejską modłę wyborowi żołnierze z gwardji cesarskiej. Pałac, wykończony dopiero osiem miesięcy temu, wygląda bardzo pokaźnie i mógłby być rezydencją każdego monarchy europejskiego. Auto zatrzymuje się przed klatką schodową, biało ubrany odźwierny otwiera jego drzwiczki, na schodach wita mnie dwóch dżentelmenów w czarnych żakietach, w spodniach popielatych w paski, w krawatkach perłowo-szarych: dyrektor ces. abisyńskiego urzędu prasowego dr Lorenzo Taezaz i dyr. w ministerstwie oświaty Blatta Kidane Mariam Aberra. Na widok tych dwóch afrykańskich dżentelmenów, ubranych najpoprawniej według angielskiej mody, czuję się zażenowanym w mojem ciemno-granatowem ubraniu. Ale gdy wchodzimy do małego salonu i siadamy na kanapie w pięknym stylu Ludwika XIV, obaj urzędnicy abisyńscy uspokajają mnie: cesarz wyraźnie zastrzegł, że dziennikarzy, przybyłych zdaleka, nie obowiązuje żaden strój etykietalny. I rzeczywiście, gdyśmy, my wszyscy dziennikarze zagraniczni, częściowo z żonami w ogólnej liczbie 32 znaleźli się razem, miało się przegląd wszelkich możliwych strojów, od jasnego ubrania letniego poprzez smokingi aż do... fraków z białą krawatką i orderami...

Punktualnie kwadrans po godzinie 4-tej lokaje otworzyli drzwi skrzydłowe i przez całą emfiladę wspaniałych salonów, wyłożonych ciężkiemi dywanami przeszliśmy do wielkiej sali przyjęć, aby przedefilować — jak to się dzieje na wszystkich dworach monarszych — przed Jego Cesarską Mością cesarzem Haile Selassie, Negusem Etjopji, Królem Królów, Lwem Judy. Cesarz siedział na tronie, nad jego głową umieszczona była na oparciu krzesła wielka korona cesarska, delikatna uduchowiona twarz monarchy miała wyraz zmęczony i melancholijny. Mniejwięcej w odległości 2 m od niego na małem krzesełku siedział jego drugi skolei syn, 15-letni książę Harraru. Przy nim w ciemnej opończy ze złotą gwiazdą pod kołnierzem stał minister wojny Ras Mullu Getta, dalej inni ministrowie i wszyscy dostojnicy dworu, pomiędzy nimi minister sprawiedliwości, minister skarbu i dowódca gwardji cesarskiej. Zaproszeni goście przechodzili powoli przed tronem, dyrektor urzędu prasowego wymieniał cesarzowi ich nazwiska, goście składali głęboki ukłon, monarcha podawał im rękę do uściśnienia. Dla każdego z zaproszonych miał uprzejmy uśmiech i życzliwe słowo. Ten jego wdzięk i ujmująca prostota sprawiły, że pozbyliśmy się szybko pierwotnego zażenowania.

Znowu otworzyły się drzwi: w salonie, przybranym kosztownymi gobelinami i dywanami, pokrytym sufitem z jasnego drzewa, lśniącego od złota, stał bufet, zaopatrzony we wszystkie możliwe delikatesy, a za nim stało nieruchomo 12-tu lokaji w zielonej liberji z czerwonemi szamerunkami w krótkich spodniach, białych pończochach. Wzdłuż ścian ustawione były stoliki z kosztownego białego drzewa, a dwóch ochmistrzów zapraszało gości, by zajęli miejsca w krzesłach, wybitych skórą i ozdobionych koroną cesarską. Cesarz zasiadł sam przy stoliku pod ścianą poprzeczną, tak, że miał przegląd na wszystkich gości. Dwa małe biało-żółte pieski leżały u jego stóp, lub też biegały wesoło tu i tam. Uprzytomniwszy sobie, że jest się przecież w zapadłym kącie Afryki, skąd listy do Europy idą 17 a czasem i więcej dni, że jest się w kraju, w którym żywą jest jeszcze tradycja wielu wieków, musiało się ze zdumieniem patrzeć na ten wspaniały, czystonowoczesny luksus, rozwinięty na „czarnym" dworze... Częstowano nas herbatą, potem szampanem i kawiorem, francuskiemi i angielskiemi likierami, słodkiemi winami z rozmaitych krajów, ciastkami, cukrami i czekoladkami, wszystkiem w możliwiei w takiej obfitości, żeśmy musieli widzieć w tem intencję gospodarza pokazania nam, iż chętnie nas u siebie wita. Zwłaszcza amerykańscy dziennikarze nie mogli wyjść z podziwu na widok ciężkich złotych półmisków i talerzy i wspaniałego starego serwisu do herbaty z czasów cesarzowej Marji Teresy... Ale i wszyscy my byliśmy pod wrażeniem, że na tej tak odległej placówce przeżywamy doniosłą, historyczną chwilę...

Po pewnym czasie cesarz wzywał do siebie, do swego stolika, poszczególnych gości, których chciał wyróżnić. Zaczął od kilku, przeważnie niemieckich pań, a potem nagle dyrektor ministerstwa oświaty zawiadomił mnie, że cesarz życzy sobie mnie poznać. Podszedłem do jego stolika, ukłoniłem się głęboko, dyrektor ministerjalny wymienił w języku abisyńskim i francuskim moje nazwisko i tytuł, cesarz podał mi rękę i po francusku wskazał mi miejsce obok siebie. Rozmawiał ze mną niemal cały kwadrans. Potem wygłosił cesarz do zebranych następujące przemówienie:

„Stwarzając człowieka Bóg dał mu rozum, aby mógł rozróżnić złe od dobrego... Przybyliście panowie do naszego kraju z rozmaitych stron świata. Jesteśmy szczęśliwi, że możemy was tutaj powitać. Wiemy, że będziecie pisać prawdę, to, co w waszem sumieniu uznacie za słuszne, a My ze swej strony udzielimy wam pomocy i opieki, aby wam ułatwić wasze zadanie. Wznosimy kielich na triumf pokoju w świecie".

Te proste słowa wywarły niezapomniane wrażenie na nas wszystkich. My, dziennikarze z całego świata, zgromadzeni w pałacu Addis-Abeba, postanowiliśmy sobie spełnić nasze zadanie bezstronnie, by światu dać poznać istotne stosunki w tem, tak godnem uwagi cesarstwie Etjopji.

Najnowsze okrycia.



Na lewo: Wełniany płaszczyk ze skórzanym paskiem i dostosowanym berecikiem.



Na lewo: Cape Wortha z rdzawego aksamitu do popielato-srebrzystej sukni.



Na lewo: Płaszczyk trzyćwierciowy z letnich gronostajów.— Malutki kołnierzyk.



Po przejściowym okresie krystalizuje się coraz wyraźniej fizjognomja okryć jesiennych i zimowych. Cechuje je przedewszystkiem wielka rozmaitość typów, o bardzo indywidualnych sylwetkach. Wyróżniamy w nich zasadnicze formy żakiecików, płaszczy i cape.

Żakieciki czy kurtki futrzane mają krój albo zupełnie obcisły, dostosowany do figury z wcięciem w pasie, albo też luźne plecy, podobnie zresztą jak i płaszcze trzyćwierciowe, czy też całkiem długie, które dostosowują się do luźnych form sukien.

Futer naturalnie jest już coraz więcej, w zastosowaniu tak do całości okrycia, jak też używanych do przybrania lub łączenia z wełną. Są to także kołnierze i mankiety z breitszwanców, nutrji lub perskich baranków, a nawet i gronostaji. Można też do wełnianego płaszczyka zastosować rękawy futrzane i mufki, znów bardzo lansowane na zbliżającą się zimę.

Rękawy przechodzą nową linję ewolucyjną. Wracamy do kroju zupełnie średniowiecznego. Do płaszczy popołudniowych wykonywane są w postaci podwójnych, a nawet potrójnych bufiastych partyj, co nadaje sylwetce nową linję, dość zresztą nieoczekiwaną, lecz tem ciekawszą przy dbałości o zupełnie nowoczesny wygląd pięknej pani.

Zupełnem przeciwieństwem dziennych płaszczy są cape wieczorowe, bardzo długie, powłóczyste, luźne, przypominające okrycia renesansowe. Wykonywane z pięknych gatunków aksamitu, brokatów i złotych lub srebrnych lam, podbite są zwykle efektownie kontrastującemi w kolorze materjałami, co daje niezwykle ciekawe połączenia. Ten sam motyw zdobniczy zastosowywany bywa przy rękawach (sukien), rozcinanych nieraz przez całą ich długość i ukazujących wewnątrz prześliczne błyszczące jedwabie lub lamy.

J. Z.



Obok: Prześliczny biały płaszczyk trzyćwierciowy ze skórek koźlęcia.

Marja Hessel

8)

PIĘCIOPŁATNICA



POWIEŚĆ

O tem, by kochała Ludwika de Contades, wogóle nie myślał. Zbyt silnie pragnął miłości Marji dla siebie, by do świadomości swej dopuścić myśl, że może nie być kochanym. Lecz z drugiej strony oczy i uszy ukazywały mu niebezpieczeństwo i siły jego powoli wyczerpywały się w tej walce wewnętrznej. Stwierdził pewnego dnia, że dłużej tak żyć nie potrafi i postanowił wszystkim niepewnościom położyć kres w sposób najprostszy i zresztą jedyny: oświadczyć się.

Pojechał. Pokojowa, przerażona jego widokiem, nie próbowała nawet zatrzymać go. Wszedł do pokoju Marji, która ubierała się właśnie przed wyjściem do teatru. Na widok botanika zmartwiała. Przerażenie, zdumienie i wstręt zatamowały jej oddech w piersiach.

Ujrzawszy ją, on również stał przez chwilę nieruchomo. Nagle wyciągnął do niej ręce, jak do szczęścia.

— Marjo!

Upadł przed nią na kolana. Cofała się ku oknu, przerażona i drżąca. Poczołgał się za nią na kolanach. Nie mógł mówić, jeno przypadł twarzą do podłogi i całował małe trzewiczki ubóstwianej kobiety.

— Czego pan chce ode mnie? — wołała Marja.

Wtedy zrzucił przed nią cały ciężar swej duszy, swoją rozpacz i miłość. Marja drżała od wstrętu i bojaźni. Ale uświadomiła sobie, że jeżeli odmówi mu i powie, że jest narzeczoną Ludwika, to potwór zabije go, lub przeszkodzi w jakikolwiek inny sposób ich małżeństwu. Powiedziała mu więc, że nie spodziewała się jego oświadczyn i prosi o kilka dni do namysłu.

Dr Cuma wrócił do domu pijany szczęściem i nadzieją — a Marja nazajutrz, skoro świt, wyjechała do Ludwika. Na drugi dzień popołudniu odbył się w tajemnicy ich ślub, a po ślubie Ludwik i Marja wyjechali w niewiadomym kierunku. Marja zawiadomiła tylko zarząd Opery, że z powodu wyjazdu w podróż poślubną przez dwa miesiące nie będzie obecną w Paryżu.

Czekający wciąż na wezwanie Marji dr Cuma dowiedział się wreszcie o wszystkiem. Jak zwykle nie dawał wiary pogłoskom. Uwierzył dopiero wówczas, gdy prasa doniosła o ślubie Ludwika hr. de Contades z Marją Larosse.

Botanik wpadł do swej pracowni, jak oszalały. Skopał i zniszczył nogami wszystko, co tylko znajdowało się w niej: uwielbiane swoje „eksperymenty", kwiaty i wazony. Przerażony służący wpadł do pracowni. Cuma rzucił w niego słojem, raniąc mu okropnie twarz. Porwał dziennik i podarłszy na strzępy, podeptał z wściekłością. W końcu sam upadł na ziemię, gryzł ręce do krwi, płakał, wygrażał całemu światu, Marji, Ludwikowi i sobie — i zemdlał.

Przyszło zapalenie mózgu. Trzy miesiące zmagał się ze śmiercią, a gdy wyzdrowiał, słowem nie wspomniał o tem, co było, nie zainteresował się nawet, czy Marja de Contades wróciła już do Paryża. Był obojętny i nieczuły. Francja oczekiwała ze drżeniem jakichś szaleńczych odruchów z jego strony, lecz on był wciąż jednakowo spokojny.

Nareszcie pewnego dnia bomba pękła: Dr. Benedykt Cuma wypowiedział wszystkie udziały, które posiadał w licznych przedsiębiorstwach, jako współwłaściciel; wycofał miljonowe wkłady z wszystkich banków francuskich i zagranicznych, zlikwidował swą wspaniałą, jedyną w Europie, hodowlę kwiatów pod Paryżem — i wyjechał niewiadomo kiedy.

Dowiedziano się tylko, że wystarał się o paszport zagraniczny, zdołano nawet stwierdzić, że wyjechał do Anglji, ale nic więcej.

Przez długi szereg miesięcy interesowano się nim. Robiono najrozmaitsze domysły, ale nawet ci, którzy swego czasu żyli przy nim najbliżej, nie wiedzieli co się z nim stało. Wszelki słuch o nim zaginął. Upłynął rok, drugi, trzeci — i wreszcie na wszystko spadła mgła zapomnienia.

• • •

Tak przedstawiała się historja Marji Larosse de Contades, wspominana na sali koncertowej przez tych, którzy historję tę znali. I znowu — jak ongiś — poczęto zastanawiać się nad tem co stało się z Benedyktem Cumą. Wielu przypuszczało, że genjalny botanik z pewnością nie żyje już, bowiem od całych trzydziestu lat nie miano o nim żadnej, najmniejszej nawet, wiadomości.

Co tymczasem zrobił Cuma, opuściwszy Francję?

Po krótkim pobycie w Anglji wyjechał, jakimś skromnym stateczkiem, do Japonji, krainy słońca i kwiatów. Tam zatrzymał się blisko rok.

Następnym etapem jego podróży były Indje. Tu już pociągnęła go nie przyroda, ale tajemna wiedza fakirów i yoggów. Wśród nich Cuma, który nigdy nie był skąpy, stał się poprostu rozrzutny, nie żałował złota, ale zdobył to, czego chciał: stał się ich uczniem. A uczył się tak chciwie, że w stosunkowo krótkim czasie, bo w przeciągu dwóch lat, dorównał swym mistrzom i do gruntu zgłębił ich dziwną naukę, tak lekceważoną na Zachodzie, a tak niebezpieczną.

Posiadł przytem nietylko tę „czarną wiedzę". On — niezrównany przyrodnik — dowiedział się, z zakresu właśnie botaniki i ziołolecznictwa, wielu rzeczy, o których świetna wiedza europejska nie miała dotychczas najmniejszego pojęcia.

Cuma skrzętnie zbierał i w głębi umysłu chował te skarby. W ten sposób upłynęły dwa lata.

Cuma uznał dalszy pobyt w Indjach za zbyteczny. Zabrawszy ze sobą kilku Hindusów dla pełnienia posług i pilnowania bagaży, odjechał do Delhi.

Tu opracował szczegółowo plan podróży. Obecnym i ostatnim już etapem jego wędrówki był Wysoki Sudan, raj przyrodników, ziemia o fantastycznie pięknej i bujnej roślinności.

Zaopatrzywszy się w potrzebnych przewodników ruszył teraz z Delhi na północny-zachód, omijając pustynię Tharr, do dolnego biegu Indusu. Przez Beludżystan, wzdłuż całej południowej Persji, przedzierając się przez wzgórza Iranu — dążył do Mezopotamji, doliny Eufratu i Tygrysu.

Zatrzymał się w małej wiosce arabskiej na zachód od Bagdadu. Ponieważ miał przejść przez Pustynię Arabską musiał zabrać ze sobą Arabów, którzyby go przeprowadzili.

Arabowie-nędzarze chętnie garnęli się do niego, zachęceni wysoką zapłatą. Natychmiast dostarczyli mu kilkanaście wielbłądów, zachwalając ich wytrwałość i oświadczyli gotowość udania się za nim, gdziekolwiekby im pójść rozkazał.

Jeden z przewodników miał przy sobie córkę, piękną Hanneh o wielkich czarnych oczach. Była łagodna i cicha, jak dziecko. Cuma rozkazał staremu Arabowi zabrać córkę ze sobą.

Wyruszyli. Przez Syrję dążyli teraz ku Pustyni Arabskiej.

Przodem jechali arabscy przewodnicy, za nimi Cuma, a na końcu Hindusi-służba, wiozący ogromną ilość bagaży swojego pana. Rozprawiali głośno, kłócąc się ze sobą o lada błahostkę, ale Cuma nie słyszał tego; jechał zamyślony i milczący. Wiele obiecywał sobie po swym pobycie w Sudanie, który planował na jakieś dwa — trzy lata. Zamierzał dokonać czegoś naprawdę niezwykłego. Gnała go naprzód żądza pracy, doświadczeń naukowych — i zapomnienia.

Wspomnienie Marji nie opuszczało go ani na chwilę. Wiedział już, że pod ziemią nawet nie skryje się przed obrazem kobiety, którą pokochał. Tęsknota paliła mu duszę. Im bardziej oddalał się od ośrodków cywilizacji i kultury, im więcej zagłębiał się w dzikie pustkowia, tem silniej potęgowała się w nim, nie dając wytchnienia. Wreszcie w targaninie namiętności i żalu znienawidził Marję każdą kroplą krwi, każdem uderzeniem serca. Wspominał bezustannie jej oszukańczą odpowiedź, potem wyjazd, a raczej ucieczkę — i poprzysięgł jej w duszy straszliwą zemstę. Ale nietylko jej: cios, jaki Marja zadała jego pierwszej i jedynej w życiu miłości, pogłębił do dna jego poprzednią nienawiść do kobiet i do całego świata. Więc wszystkim im poprzysiągł zemstę i odtąd żył tylko jej pragnieniem. Obiecywał sobie sowitą zapłatę za wzgardę Marji, za zawód, który w proch starł jego marzenia o szczęściu i za niechęć ludzką do siebie. pamiętał i nie przebaczał, może dlatego, że też i cierpiał silniej, niż wszyscy ludzie. Powoli zatracał resztki człowieczeństwa, zmieniając się w potwora, przed którym najzuchwalsi nawet Arabowie drżeli, jak ptaki. Dla jednej tylko istoty był względny i miał ludzkie słowo. Była nią Hanneh. Nie miał dla niej żadnego uczucia, była mu tylko potrzebna, ją bowiem wybrał na materjał, z którego stworzyć miał fundament pod zemstę, obmyśloną podczas bezsennych nocy i długich, bezczynnych dni żmudnej podróży.

Nikt nie wiedział, jak to się stać mogło, ale wnet zauważono, że piękna i słodka Hanneh kocha potwornego przybysza z Zachodu. Gdy we wszystkich budził wstręt i fizyczną odrazę, obok panicznej zwierzęcej trwogi, ona swemi sarniemi oczyma patrzyła w jego straszne seledynowe oczy z miłością i bezgranicznem przywiązaniem. Na noc kładła się w pobliżu jego namiotu i czuwała nad jego snem, a gdy nie spał, opowiadała mu śpiewnym, miękkim głosem dziwne baśni swojego plemienia.

Benedykt Cuma wiedział o tej miłości i znał jej tajemnicę. Przez dwa lata przecież płacił za nią nauczycielom czarnej wiedzy w Indjach... Wykorzystując to, czego nauczyli go niegdyś, raz jeden spojrzał długo w czarne oczy Hanneh — i mała Arabka pokochała go, sama nie wiedząc za co, jak i kiedy.

Tymczasem niebezpieczna podróż przez Pustynię Arabską skończyła się. Dotarli następnie do Delty Nilu, a stąd skierowali się na południe w górę rzeki.

Pewnego dnia Hanneh wyznała Cumie, że spodziewa się zostać matką.

— Wiem o tem, Hanneh! — odpowiedział jej. — Będziesz miała córeczkę.

Otoczył ją staraniem i opieką. Jechała na najspokojniejszym wielbłądzie, na którego grzbiecie urządzono jej z rozkazu Cumy wygodne posłanie. Nie należała już do służby. Przebywała teraz wciąż w towarzystwie Cumy, który ubrał ją w piękne kolorowe tkaniny i obdarzył mnóstwem podarków. Czuwał nad każdym jej krokiem i słowem. Lecz bynajmniej nie chodziło mu o Hanneh. On roztaczał swój wpływ i władzę nad dzieckiem, od pierwszej chwili jego powstania w łonie matki.

Minęli Asuan i Wadi-Halfa. Doszedłszy do trzeciej Katarakty opuścili bieg rzeki i przeprawiwszy się przez Pustynię Nubijską, omijając szerokiem półkolem Pustynię Libijską, zmienili kierunek na zachód i dotarli wreszcie do jeziora Czad.

Odtąd szli ciągle na zachód, aż do Nigru. Po drugiej stronie był już cel wyprawy: Wysoki Sudan.

Przeprawili się przez rzekę. Cuma natychmiast zatrzymał karawanę i ogłosił śmiertelnie zmęczonym ludziom kilkudniowy wypoczynek, przed wyruszeniem wgłąb Sudanu. Natychmiast rozbito namioty i rozpalono ogniska. Kobiety zabrały się do pieczenia mięsa.

Hanneh, z uwagi na zbliżający się termin rozwiązania, przebywała z rozkazu Cumy w jego namiocie, pod bezustanną opieką jednej ze służebnych Arabek.

Żelaznego zdrowia Cumy podróż nie zdołała nadwątlić. Na trzeci dzień już zabrał się do pracy.

Jako botanik znał teoretycznie całą roślinność Sudanu, a przecież spotkał okazy kwiatów tak rzadkie i piękne, jakich tu nawet ujrzeć się nie spodziewał. Zbierał je skrzętnie i zanosił do swej prowizorycznej pracowni. Zamierzał bowiem drogą skrzyżowania tych wszystkich gatunków stworzyć coś naprawdę nadzwyczajnego, nietylko w znaczeniu piękna, ale i w znaczeniu wartości. Od fakirów nauczył się wielu bezcennych wprost właściwości leczniczych i postanowił wiedzę tę wykorzystać lepiej jeszcze, niż oni, bo posiadał wykształcenie, którego oni nie mieli.

Pewnego dnia Hanneh urodziła córeczkę. Cuma przerwał prace doświadczalne i zajął się obiema. Długo patrzył w malusieńką pomarszczoną twarzyczkę dziecka. Było tak, jak chciał: dziewczynka obiecywała być zupełnie podobną do matki, urodziła się silna i zdrowa.

Teraz dość dużo czasu poświęcał Hanneh i dziecku, tembardziej, że czekał na wyniki poprzedniej pracy.

Hanneh nie mogła zdecydować się, jakie imię dać małej. Spytała wreszcie Benedykta, podsuwając mu różne imiona kwiatów i ptaszków. Cuma odrzucił wszystkie.

— Córeczka nasza będzie się nazywać Edyth! — rzekł.

— Takie imię noszą córki białych ludzi na Zachodzie!

To, co wychodziło z ust Cumy, było dla Hanneh święte. Odtąd wszyscy wokół uczyli się wymawiać niezwykłe imię małej Edyth.

A tymczasem dr Cuma powrócił znów do swego „eksperymentu". Codzień oglądał uważnie roślinki, zasadzone w szklanych puszkach i zauważył, że roślina marnieje i usycha.

— Te gatunki nie „zejdą się" — stwierdził w duszy. Był trochę zdziwiony. Według wszelkich przypuszczeń i jego obliczeń, doświadczenie powinno było dać dobre wyniki.

Zamknął się w swej pracowni. Obliczał coś, kombinował, próbował. Za kilkanaście dni znowu obejrzał rośliny: wschodziły niby, ale bardzo słabo. Widoczne już było, że w ten sposób przeprowadzone skrzyżowanie nie wyda pozytywnych rezultatów.

Cuma postanowił przenieść się w głąb Wysokiego Sudanu. Nakazał zwinięcie namiotów i spakowanie bagaży. Na drugi dzień już ruszono w kierunku południowo-zachodnim, w okolice, gdzie roślinność była najbujniejsza i najbardziej różnorodna. Gdy obrał miejsce postoju, zaraz po rozbiciu namiotów zarządził postawienie lepszej niż poprzednia pracowni. Sam wziął udział w robocie i w kilku tygodniach postawiono coś w rodzaju małego domku, szczelnie okrytego dachem. Gdy pracownia została ukończona, wniesiono do niej i poustawiano na prostych, skleconych naprędce stołach wszystkie przyrządy botaniczne, słoje, wazoniki, szklane pudła i wszelki materjał doświadczalny. Cuma zamknął pracownię i nikt nie miał do niej dostępu, nawet Hanneh.



LENA ŻELICHOWSKA

artystka teatru rewjowego »Cyrulik Warszawski«. Bliższe szczegóły na stronie 16-tej.

Bliższe szczegóły na stronie 16-tej.

Fot. St. Brzozowski, Warszawa

● LENA ŻELICHOWSKA ●



Lena Żelichowska.

Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

Balet jest stałym dostarczycielem gwiazd operetkowych i kabaretowych. Z chwilą, gdy nóżki baletowe osiągają pewną perfekcję, zaczyna upominać się o swe prawa gardło: śpiewać, ach śpiewać! Każda tancerka marzy o karjerze śpiewaczki. Niektóre zaczynają się uczyć śpiewu, inne próbują dostać się odrazu do rewji lub operetki. Gdy już dostaną się na scenę i trochę pośpiewają, zaczyna się upominać o swe prawa głowa: ja chcę do dramatu, chcę przeżywać, wżywać się, wyładowywać z siebie nagromadzone wewnątrz skarby uczucia. Słowem — daj kurze grzędę... Niewiele z marzycielek osiąga swój cel, tak jak zresztą, nie każdy kończący prawo, zostaje adwokatem czy sądownikiem, a kończący politechnikę — inżynierem.

Do niewielu wybranek, które wytrzymały dystans od baletu do dramatu należy Lena Żelichowska. Jako ośmioletni pędrak zaczęła tańczyć i do dziewiętnastego roku życia pokutowała w balecie. Rwała się naturalnie do rewji i wkońcu dostała się do „Morskiego Oka". Zdobyła odrazu sympatję publiczności, bo wniosła ze sobą na scenę rzadki dar — radość życia, tryskającą z każdego jej ruchu, a zmagazynowaną w jej uśmiechu. Na scenę wchodziła,... nie: wpadała radosna młodość, pokazująca niezliczoną ilość zębów w szerokim, niekłamanym uśmiechu. Rżała i fikała, jak młody źrebak, i widać było, że jej samej robi to przyjemność, że ma potrzebę takiego wyładowania się. W krótkim czasie nabrała rutyny i wysunęła się na czoło w „Morskiem Oku", a następnie w „Wesołym Wieczorze". Gdy powstawała „Banda" — Żelichowska dopuszczona została do elity aktorstwa kabaretowego. I tutaj, — winowajcą repertuarowym jest Tuwim, — zaczęto ujeżdżać młodego źrebaka, osiodłano go i pchnięto na repertuar poważniejszy. Coraz mniej radości życia, coraz więcej sentymentu i kabaretowego dramatu. Niestety: miała w tym kierunku zdolności i w krótkim czasie z radosnego źrebaka przekształciła się w szlachetnego rumaka, od czasu do czasu tylko „zniżając się" do dawnych numerów żywiołowych. A najgorsze, że rwie się teraz do dramatu, marzy o tem, i osiągnęła sukcesy w sztuce „Migo" w Teatrze Nowym, jako Franka, i w „Moralności pani Dulskiej" u Jaracza, jako Hanka. Ja osobiście żałuję tego radosnego żywiołu, który zagipsowali w niej „bandyci". Ale on jest w Żelichowskiej, wydobywa się z niej przez oczy i... nogi, bo tańca w niej nie zaduszono. Żelichowska kocha obecnie taniec tak samo, jak w ósmym roku życia, gdy w nim widziała całe swoje życie. Mimo, że wśrodku w niej wre wulkan dramatu, niech się tylko dotknie numeru tanecznego — zrzuca gorset dramatyczny i daje ze siebie pełnię żywiołowej natury. W „Cyruliku Warszawskim" robi obecnie prześliczną piosenkę taneczną „The sentimental" Hemara: jest w niej stuprocentową Żelichowską. Ktoś, siedzący za mną, powiedział podczas tego numeru „Bestja!" i to jest bardzo szczery hołd dla talentu i aparycji Żelichowskiej. Ma ona w sobie coś z Carmeny, Josephine Backer i Maryśki wiejskiej, a wszystko to zamknięte w budowie chłopięcej, przy ślicznych długich nogach. Góruje nad tem twarz z kategorji takich, o których mówi się „Mordka" a w niej — śmiejące się oczy, które nigdy dramatyczne nie będą.

Jakie słabostki posiada? Lubi podróże (kto nie lubi?), zwierzęta (kto nie lubi?), kocha dzieci i marzy o własnem, przepada za brzoskwiniami.

To wszystko, co tu napisałem, widać na fotografji, umieszczonej w niniejszym numerze „Światowida".

Old Goj.

NA PROGU SEZONU TEATRALNEGO W KALISZU



Na inaugurację sezonu teatralnego w Kaliszu wystawiono komedję Kiedrzyńskiego p. t. „Gra serc", w której główną rolę kreuje Halina Cieszkowska, utalentowana artystka. Występowała ona ostatnio przez kilka sezonów w Teatrze Nowym w Poznaniu a nazwisko jej nie schodziło niemal z afisza teatralnego. Cieszkowska bowiem umie nietylko grać, ale także pogłębiać i przeżywać swoje role.

Fot. St. Markiewicz — Poznań.

FREDDIE BARTHOLEMEW!



Freddie Bartholemew w filmie „Metro" pt. „Dawid Cooperfield". *Metro-Goldwyn-Mayer.*

Gwiazdy odchodzą, ale nadchodzą również. Nowy gwiazdor, to maleńki Freddie Bartholemew, który wykonywuje rolę Dawida Copperfielda w nowym obrazie Metro. Film ten ma olbrzymie powodzenie. Wyświetlany już jest trzeci tydzień w dwu gigantycznych kinach nowojorskich i, jakkolwiek film ten obejrzało już bez mała pół miljona nowojorczyków, obydwa kina przepełnione są codzień do ostatniego miejsca. Maleńki, angielski chłopczyk — to wielki nabytek Metro i godny jest nazwy konkurenta małej Shirley Temple. We wzruszającej wersji filmowej powieści Dickensa historja Dawida do tego stopnia subtelnie i realistycznie podana jest przez maleńkiego artystę, że publiczność nietylko płacze, przeżywając wraz z nim wszystkie jego bóle, ale entuzjastycznie wita oklaskami każde jego powodzenie, zapominając zupełnie, że to bezduszny ekran. Metro odkryło go przypadkowo i jest z tego bardzo dumne. Chłopiec niewątpliwie będzie sensacją roku 1935. W każdym razie film „Dawid Copperfield" — on wydźwignął na swoich wąskich, dzielnych ramionach.



Freddie Bartholemew w filmie „Metro" pt. „Dawid Cooperfield". *Metro-Goldwyn-Mayer.*

GDY BYŁAM KURTYZANĄ...

Gdy postanowiono powierzyć mi rolę Madame Dubarry, gdy przeczytałam scenarjusz i odbyłam dłuższą rozmowę z reżyserem Williamem Dieterle, już wtedy wiedziałam z całą pewnością, że Dubarry w mojej interpretacji wywoła żywe poruszenie i liczne głosy protestu w świecie historyków. Nie chciałam jednak stwarzać postaci, którą z równem powodzeniem mogłaby zagrać każda inna aktorka; nie chciałam grać w filmie, który po kilku tygodniach wyświetlania poszedłby w zapomnienie, jak tyle innych „historycznych" obrazów. Grałam moją Dubarry tak, jak tę kobietę wyobrazić może sobie tylko druga kobieta. Bynajmniej nie miałam pretensji do tego, aby Madame Dubarry była na ekranie ściśle historyczną postacią. Jestem artystką i kobietą i mam za sobą duże doświadczenie, jeśli chodzi o pracę przy filmach, i bogatą w przeżycia przeszłość. Usiłowałam wniknąć w duszę tamtej nieszczęśliwej kobiety, która umilała życie królowi i która swoje życie zakończyła na szafocie.

Madame Dubarry nie zostawiła nam w spadku swoich pamiętników. Istnieją tylko liczne sprawozdania współczesnych jej historyków i powieściopisarzy. Nie czytałam tych dzieł. Kreując tę postać szłam przedewszystkiem po linji dwóch faktów: Marja Joanna znalazła się jako rozpajdaczone i biedne stworzenie w 14 roku życia na paryskim bruku, Madame Dubarry opuściła w kilkanaście lat później, po śmierci Ludwika XV, dwór królewski jako hrabina. Polityczne i rodzinne walki nie interesowały mnie zupełnie. Miałam odtworzyć postać, która dzięki swemu czarowi, urodzie, gracji i mądrości znalazła drogę z ulicy do pałacu wersalskiego.

To dziecko Paryża musiało łączyć w sobie wrodzony dowcip z czarem, mądrość z gracją, przytomność umysłu z kokieterją, musiało umieć jednocześnie śmiać się i płakać, musiało jeszcze umieć walczyć z mężczyznami i oczarowywać kobiety. Co stałoby się z Dubarry, gdyby puściła wodze swoim skłonnościom, swemu uczuciu?! A przecież nie miała serca z kamienia. Kochała życie i kochała również człowieka, który jej stworzył raj na ziemi, a o którym w dzieciństwie nie śmiała nawet marzyć. Dała mu w tysiącu drobiazgach dowody wielkiego przywiązania, lecz sama nigdy nie wystawiała na próbę swej słabej strony: ani razu nie obnażyła przed nim całkowicie swego uczucia. Dubarry zmieniała swe nastroje z dnia na dzień, z godziny na godzinę i dobrze znała wartość swej nieokiełznanej natury. Jej przeciwnicy potępiali ją za to, lecz zwolennicy byli nią coraz bardziej zachwyceni.



Dubarry nie była żadną Pompadour. Nie dążyła do władzy, bogactwa lub sławy. Jej jedynym celem było beztroskie, piękne życie.

Z tych wszystkich przesłanek stworzyłam sobie obraz „królewskiej kurtyzany", a wytwórnia Warner Bros. powołała ją znów do życia. Mam nadzieję, że udało mi się wywołać na ekranie żywą Dubarry, taką właśnie, jaką my — ludzie bez jutra — wyobrażamy sobie.

Fot. Warner Bros First National Films.

„POD PALĄCEM NIEBEM ARGENTYNY"



Warner Baster i Rita Cansino w jednej ze scen filmu „Foxa" p. t. „Pod palącem niebem Argentyny".

Fot. „FOX".

DZIECKO NA EKRANIE



Willie Mae Walton.



Shirley Temple, królewna „cudownych dzieci".



Babe Le Roy 2-letni gwiazdor Hollywood'u.



Olympe Bradna, jako Cosetta w „Nędznikach".

(Korespondencja własna „Światowida").

Paryż, we wrześniu.

Jeszcze przed niedawnym czasem role dziecięce powierzano we filmie dorosłym artystom, odpowiednio charakteryzowanym. Mary Picford zdobyła sobie nawet pewną popularność w tym zakresie. Niedawno zaś widzieliśmy w filmie „Lac aux Dames" Simone Simon, grającą rolę piętnastoletniej Puck.

Lecz ten ostatni wypadek stanowi specjalną kategorję: Puck jest (według scenarjusza) rozwinięta fizycznie ponad wiek, wszystko więc w porządku.

Znacznie gorzej, jeśli w filmie rolę dziecka gra dziecko, jeśli dziecko to jest dziewczynką, i jeśli zbyt komercjalnie nastrojeni twórcy filmu musztrują małą tak, by wyglądała jak dorosła kobietka, i bawiła zblazowaną widownię swemi minkami, pozami, uśmiechami, grymasami. Jako przykład przytoczmy Baby Rose-Mary, nie robiącą już na nas wrażenia dziecka, niestety. Podobnież Olympe Bradna. Wina nie dziecka, ale wychowawców, eksploatujących powodzenie filmowe ich „pociechy" złotonośnej, wina reżysera i wytwórni, praktykującej proceder, który powinien być surowo zakazany przez Sprawiedliwość. Bo z jednej strony nakręcenie filmu nie jest przyjemnością i stanowi męczarnię nawet dla dorosłych, zahartowanych artystów. Dziecko traci tu zdrowie, ale któż je zastąpi przed objektywem? Mereżkowski w swym „Leonardo da Vinci" opisał jakąś luksusową bachanalję, w czasie której na wielkim kloszu przyniesiono nagiego, całkowicie złoconego chłopczyka. Zachwyt i uciecha były powszechne; lecz podczas gdy biesiadnicy kontynuowali pijatykę, mały oddawał gdzieś w kącie ostatnie tchnienie...

Dziecko, stające się artystą, przestaje być dzieckiem. Traci za jednym zamachem swą młodość i radość młodości, wpada w świat zepsucia i pracy ciężkiej, traktowane jest nie tak, jak należy, uwzględniając wiek, lecz jak artysta. Otóż artysta nie ma wieku. Zanotowałem więc następujący wywiad jednego z dziennikarzy ze wspomnianą powyżej malutką Olympe Bradna, stanowiący doskonały dokument demoralizacji młodocianych, wykolejania ich, utrącania ich przyszłości. Mała musiała odpowiadać na pytania reportera mimo, że padała ze zmęczenia. Wyrecytowała więc jednym tchem:

— ...w tym filmie Flofloche — to ja, to znaczy, że jestem córką Armanda Bernard. Moją główną partnerką jest Dhelia. Mój papa, Bernard, pragnie, bym stała się aptekarką, ale że mama jest tancerką i ja też umiem tańczyć, więc wkońcu jednak zostaję tancerką i to nawet słynną. Więc w końcu filmu tańczę i śpiewam jedną piosenkę bardzo trudną... A po tym filmie pojadę na Riwierę, a potem do Hollywood, gdzie podpisałam już kontrakt... Ułożyłam nawet scenarjusz i już go zdeponowałam... Pozostają djalogi...

I na tych słowach dziecko usnęło...

Czy mała zrobi karjerę? Może i tak. Małe tancerki długo bawią publiczność, a potem dorastają i jeśli nie zajdzie nic nadzwyczajnego, bawią publiczność w dalszym ciągu, już jako dorosłe...

Gorzej z chłopcami. Niedawno prasa francuska zanotowała krótko, że niejaki pan Genevois wyskoczył z okna piątego piętra, i popełnił samobójstwo z rozpaczy, że rodzina jego umiera z głodu, on zaś nie znajduje zajęcia. Samobójca był ojcem Emila Genevois, młodego, inteligentnego i wybitnego artysty, grającego niedawno rolę Gavroche'a w „Nędznikach", wystawianych przed paroma miesiącami w Polsce. Ta notatka prasowa wywarła zdumienie i oburzenie, a u niektórych i smutek:

— Jakto? Przecież cuda rozpowiadano i rozpisywano o gażach, jakie wytwórnie kinowe wypłacają „cudownemu dziecku"!? To chyba niemożliwe, by jego rodzina umierała z głodu?!...

Możliwe, możliwe. Emil Genevois ślicznie grał w „Nędznikach", potem w „Craiquebille", obok Tramela, potem angażowano go do „Pod topór" obok Marie Bell i nawet do teatru do „Pranzini" i t. d. A potem nie wypłacono mu ani grosza za jeden film, niezwykle mało za inny, potem nie angażowano go zupełnie, bo podaż na dzieci duża na rynku kinowym ,a na filmy gotowe mała...

I mały Emil, wybrany spośród 500 współzawodników, wytrącony z równowagi, wyciśnięty jak cytryna, odpadł, jak tylu innych dorosłych, czepiających się kurczowo karjery filmowej. Ale on jest niewinny, jego wybrano, inni natomiast winni cierpieć na jego miejscu...

* * *

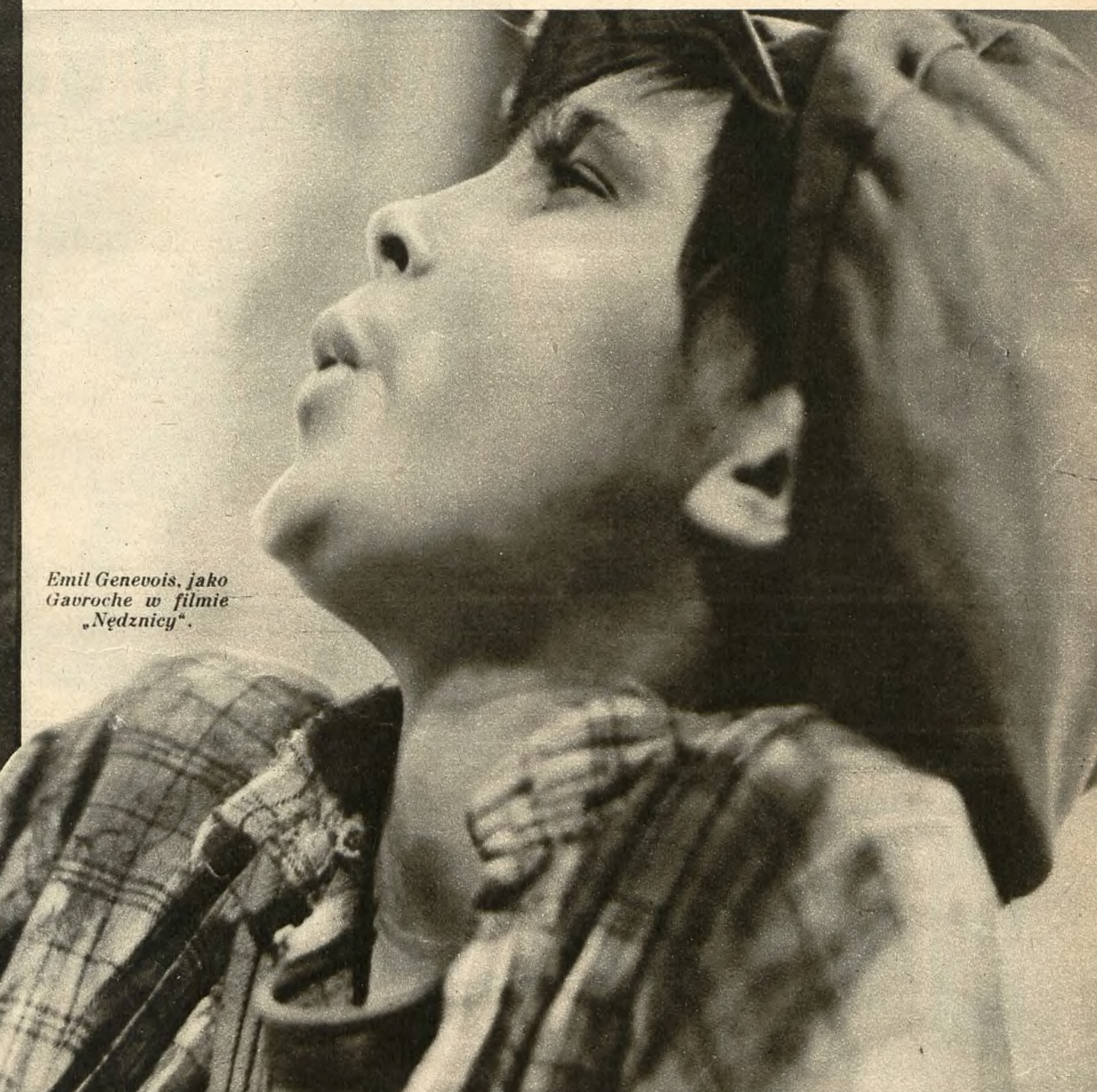
Dużo jeszcze możnaby cytować dzieciaków, które przewinęły się przez objektyw kamery kinowej. Był Jean Forest w „Crainquebille", podjęty na ulicy przez reżysera, szukającego właśnie odtwórcy jednej z ról dziecięcych. Była sześcioletnia Paulette Elambert w „Maternelle", zadziwiająca swym wyrazem, smutkiem dziecka, przeżywającego głęboko rolę zbyt „życiową", zbyt brudną, której nie mogła przetrawić... — Jackie Coogan jest chyba najbardziej popularny i należy do tych młodocianych artystów, którzy „nie dali się". Mały Jackie, odkryty przez Chaplina wyrósł, i gra dalej, jak i paryski Forest. — W Niemczech widzieliśmy całą bandę dzieciaków, grających w filmach „Emil i detektywi", o licznych momentach niemoralnych, wykolejających może na całe życie. Porozumiejmy się. Pod słowem „niemoralny" mam na myśli znacznie więcej, niż zwykle się w języku potocznym przez to słowo rozumie; w filmie powyższym dzieci uczą się urządzać samosąd i unikać policji, kraść dla dowcipu i zemsty, uczą się miłostek w trojkąciki i t. d. — Hans Schauffus w „Brennendes Geheimnis" przecierpiał również najwidoczniej dużo, uwzględniając realizm jego roli. Podobnież realistyczna była rola Roberta Lynen w „Poil de carotte", rola, którą zagrał doskonale, pełen wyrazu naturalnego smutku. Chętniej oglądałem go w roli „Małego Króla", bardziej fantastycznej, a więc odczutej inaczej przez to samo dziecko, które (wyjąwszy zmęczenie nakręcenia i nieodpowiednie życie zakulisowe) rolę swą może uważać za zabawę i to „byczą"...

Szczęśliwym wyjątkiem, jak się zdaje, jest Shirley Temple — mała królewna hollywoodzkich wytwórni, które w zrozumieniu swego własnego interesu szczędzą prawdopodobnie więcej swych młodocianych artystów. O ile można wierzyć (czy można doprawdy?) wieściom — dochodzącym nas z za oceanu, opieka nad dziećmi nagrywającemi w Hollywood ma być należytą i nie pozostawiającą niczego do życzenia. W takim wypadku dalekie Hollywood byłoby wyjątkiem, który niestety jednak potwierdza regułę.

Zygmunt Frenkiel.



„Scotty" Beckett i „Spanky" McFarland.

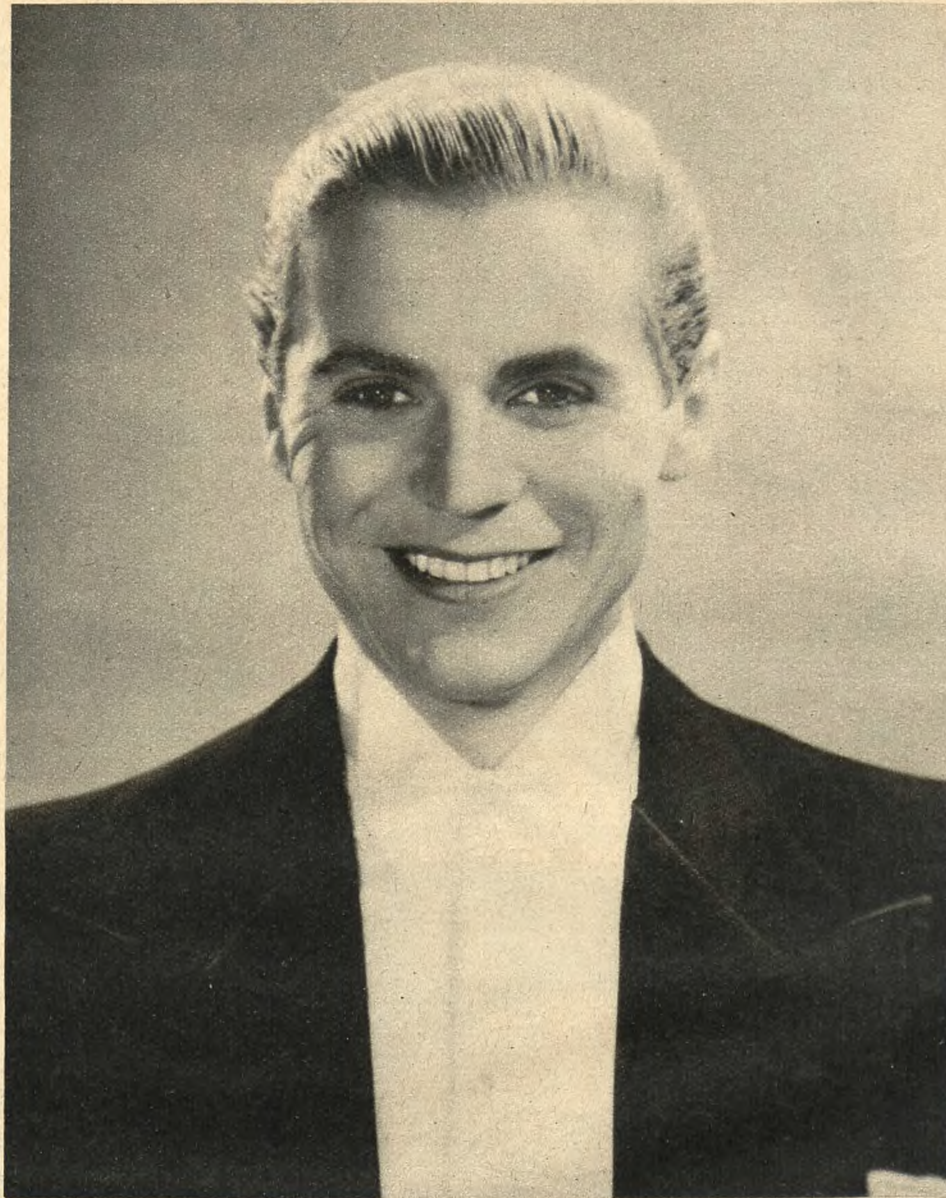


Emil Genevois, jako Gavroche w filmie „Nędznicy".

GLADYS SWARTHOUT — NOWA GWIAZDA AMERYKAŃSKA — PARTNERKĄ JANA KIEPURY.

„Kochaj tylko mnie"





Partnerką Jana Kiepury w jego pierwszym amerykańskim filmie p. t. „Pieśń o Nilu" dla wytwórni Paramount będzie Gladys Swarthout.

Kim jest Gladys Swarthout?

Jest to młodziutka śpiewaczka operowa — która posiada nietylko przepiękny głos, ale również nieskazitelną figurkę. Nic też dziwnego, że wytwórnia Paramount wybrała ją na pierwszą amerykańską partnerkę Jana Kiepury.

Karjera Gladys Swarthout jest niezwykła. Mając dwanaście lat zdumiewała całe swe otoczenie: śpiewała jak słowik. Najtrudniejsze arje operowe były dla niej fraszką. Dość powiedzieć, że mając lat 14, wystąpiła po raz pierwszy na koncercie i zarobiła aż 50 dolarów.

Gladys pobierała lekcje śpiewu w konserwatorjum w Chicago i zadebiutowała w chicagowskiej operze. Odniosła sukces kolosalny. Słynna śpiewaczka Mary Garden winszowała jej osobiście. Gladys Swarthout zadebiutowała w rok później w Metropolitain Opera, a po skończonym sezonie teatralnym wyjechała do Włoch i tu poznała swego rodaka, młodego barytona Franka Chapmana. Gdy wróciła do Nowego Jorku, Frank oświadczył się jej i Gladys została panią Chapman.

Producenci amerykańscy w poszukiwaniu nowych gwiazd teatralnych, które mogłyby grać w filmie, zwrócili się do Gladys Swarthout, proponując jej rolę w filmie „Rose of the rancho". („Róża z rancho"). Gladys zgodziła się. Zdjęcia próbne wypadły nadspodziewanie dobrze i Gladys przystąpiła do nakręcania filmu „Róża z Rancho". Partnerami jej są: John Boles i Charles Bickford. Gladys wystąpi w podwójnej roli: chłopca i dziewczyny.

Po tym filmie Gladys Swarthout ukaże się obok Jana Kiepury w jego pierwszym amerykańskim filmie „Pieśń o Nilu". Film ten reżyseruje Frank Tuttle, młody, niezwykle uzdolniony reżyser. „Pieśń o Nilu" zostanie ukończona w połowie listopada.

Gladys Swarthout i John Boles ukażą się w pięknej operetce „Rose of the rancho" („Róża z rancho"). Fot. „PARAMOUNT".

W. Zacharjasiewicz, uzdolniony młody aktor, kieruje główną rolę w filmie polskim „Kochaj tylko mnie". Będzie to komedja, w której pozatem grają: Znicz, Stępowski, Sielański, oraz nowa „rewelacja" ekranu — Lidja Wysocka. Fot. LEO-FILM".

„TAJEMNICA CZARNEGO POKOJU"



Borys Karloff wystąpi w nowej, wielkiej kreacji! Mistrz maski gra tym razem w filmie p. t. „Tajemnica czarnego pokoju", którego akcja rozgrywa się w środowisku cyganów. Partnerką Karloffa w tym wielkim filmie „Columbii" jest Katherine de Mille. Fot. D. H. „SFINKS".

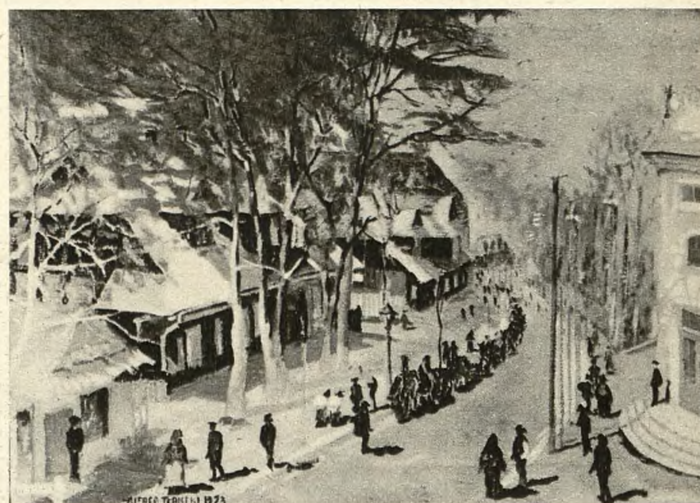
MALARZ TATR — ALFRED TERLECKI



Alfred Terlecki w swojej pracowni.



„Morskie Oko“ obraz olejny Terleckiego



„Zakopane - Krupówki“ obraz olejny Terleckiego

Krajobraz tatrzański nęcił zawsze oko i serce naszych najwybitniejszych artystów - plastyków, próbujących odtworzyć majestat i grozę naszych gór.

Alfred Terlecki zajmuje wśród nich przodujące miejsce, dzięki subtelnemu malarskiemu podejściu do świata tatrzańskiej przyrody. Terlecki przetwarza w swej sztuce groźny charakter krajobrazu w subtelną biało-niebieską kolorystyczną gamę, ujętą w jasnej płaszczyźnie obrazu. On pierwszy przedstawił w sztuce swej Tatry w słońcu. W malarstwie jego tkwi coś z walorów subtelności japońskiego drzeworytu. W rafinowanych kolorystycznych harmonjach wydobywa Terlecki przeźroczystość górskiej atmosfery i słoneczność pejzażu. Dekoracyjność jego kompozycji wynika z syntezy barwnych plam wiążących się logicznie w fakturę obrazu.

W kompozycjach figuralnych używa Terlecki w sposób wysoce umiejętny linji modelującej sylwetę postaci i wydzielającej ją od tła. Czyni to w sposób pełen wdzięku, to też zarówno jego akty jak i portrety odznaczają się równie wysokim artystycznym poziomem co i jego tatrzańskie krajobrazy.

W życiu kulturalnem Krakowa Alfred Terlecki spełnia niezmiernie poważną misję wychowawczą, prowadząc od 8 lat swoją „Szkołę sztuk pięknych“, niezmiernie pożyteczną placówkę, uwzględniającą przedewszystkiem kształcenie w malarstwie i sztukach zdobniczych naszej młodzieży.

Placówka ta ma tem większe znaczenie, iż z obecnego programu szkolnego państwowych szkół usunięto niemal zupełnie naukę rysunków, przez co zaprzepaszcza się wiele zdolności i uniemożliwia wyszukiwanie nowych młodych, twórczych talentów.

Alfred Terlecki, pracujący niezmordowanie i z całem oddaniem się idei wychowawczej, przysposobił już wielu, wielu uczniów w malarskim fachu. Jako szczery artysta ukochał zarówno artystyczną twórczość i wychowawcze posłannictwo i tylko dzięki nadzwyczajnej pracowitości i szeregu ofiar osobistych może pogodzić obowiązki wychowawcze z swoją własną artystyczną twórczością, która znalazła w Polsce tak wielu szczerych miłośników.

Artysta i człowiek czynu — to tak rzadkie zjawisko w naszem życiu kulturalnem — zasługuje na szczere uznanie dla dotychczasowego rezultatu pracy, jaką jest skuteczne pogłębianie i szerzenie polskiej myśli artystycznej w stolicy malarstwa polskiego w Krakowie.

ORDONKA i SYM

NOWA PARA ARTYSTYCZNA WARSZAWY

Parę słów życiorysu błyskawicznego z własnych wspomnień o Ordonce...

Najpierw, dawno już dosyć... (rok wiem, ale nie powiem. Poco?).

Szkoła baletowa przy teatrze Wielkim w Warszawie...

Tam, w tłumie małych dziewczątek, mała, blada dziewczynka, o płowych włoskach, na cienkich nóżkach usiłuje wykonywać pod komendą starej nauczycielki „pas" baletowe... Codzienna porcja ćwiczeń, która ma małą poczwarkę przekształcić kiedyś w czarownego motyla baletowego...

To małe, drobne „coś" niezbyt się wyróżnia... I nikt nie wie, nikt się nie domyśla, że z tego kiedyś wyrośnie oszałamiająca pieśniarka — Hanka Ordonówna!

Nie powiodło się w balecie...

Kręci się potem „toto" za kulisami jakiegoś „Mirażu", a właściwie „szmirażu", prototypu obecnych teatrów rewjowych. Kręci się, myszkując w garderobach ówczesnych „gwiazdorów" w nadziei, że może kiedyś, coś...

Potem jakiś czas jej w Warszawie nie było, nie było...

Aż nagle do „Stańczyka", pomniejszego teatrzyku rewjowego w podziemiach przy ul. Karowej, przybywa Hanka Ordonówna, już jako „artystka całą gębą"... Śpiewa cienkim i dość wtedy jeszcze piskliwym głosikiem „Kniaginiuszkę" do słów Tuwima...

Spodobała się ówczesnym potentatom rewjowym pp. Majdemu i Boczkowskiemu, prowadzącym podówczas niezapomniane „Qui pro quo" — „kochaną starą budę"... także w podziemiach galerji Luxemburga... Wzięli do siebie.

Taka to już była „podziemna artystka" początkowo z tej Ordonki...

Głos już nieco dźwięczniejszy. Specjalność — piosenki na widowni. Krąży wśród widzów, siadając starszym łysawym panom na kolanach i śpiewając:

„Złotko, ja tak całuję słodko...".

I poniektóry nawet zostaje nagrodzony pocałunkiem w łysinę, na której potem zabawnie maluje się czerwone serduszko karminu z warg Ordonki...

Ale to wszystko jeszcze nic... To jeszcze nie była „ta" Ordonka...

Potem dopiero zawitał do Warszawy wędrowny „Niebieski ptak" — Jarossy. Urzekła go nadwiślańska syrena o rusałczanym głosie...

Dla niej został, aby ją... kochać i... kształcić i... zrobić z niej — Ordonkę!

A gdy mu się to udało, trzeba było słyszeć, z jaką emfazą zapowiadał ją:

— Hanka Ordonówna... to chyba wystarczy...!

Potem już coraz wyżej sięgała po szczeblach artyzmu i karjery...

Przyszedł i film... i scena poważna... i nawet... arena... i występy zagraniczne...

I... małżeństwo z hr. Tyszkiewiczem...

Ale to nieważne... Ważne, że takiej pieśniarki, jak Hanka Ordonówna nie było jeszcze w Polsce... i mało kto tak jest kochany przez tłumy, jak... Ordonka!

* * *

Jeszcze krócej rozprawimy się z Igo Symem tą samą metodą...

Do pierwszej polskiej wytwórni filmowej „Sfinks" przyszedł kiedyś bardzo wysoki „łysy blondyn" art. malarz John i sprowadził także bardzo wysokiego bruneta o wichrzącej się czuprynie Syma.

Rzekł właścicielowi wytwórni — nieżyjącemu już dziś Aleksandrowi Hertzowi:

— Zrobił pan Smosarską, niech pan zrobi... Smosarskiego... Chłop, jak malowanie, do filmu rwie się...

Spróbowano... Zagrał film p. t. „O czem się nie myśli".

I zaraz „capnięto" go nam zagranicę...

Tam filmował, filmował, aż wrócił.

I teraz tu filmuje, a w wolnych chwilach śpiewa.

* * *

Aż wreszcie „spiknęła" się Ordonka z Symem i oto Hanka i Igo stali się nierozerwalnymi partnerami.

Zaczęli od tego, że... pojechali do Rygi...

Sukces tam odnieśli olbrzymi. Łotyszki oszalały za Igiem, Łotysze za Ordonką.

Pytam:

— Miło było?

— Cudnie. Ci Łotysze to kochani ludzie. Nic nie rozumieją, co śpiewamy, a brawo biją, jakby wszystko rozumieli... nawet reagują odpowiednio na miejsca komiczne... Bardzo, bardzo wdzięczna, wnikliwa, inteligentna, kochana publiczność...

Rozmowa ta odbyła się za kulisami teatru „Hollywood", gdzie ta para teraz czaruje publiczność stołeczną...

I wcale nie zdziwiłbym się, gdyby nam tę parę kiedy porwał już Hollywood... bez cudzysłowu...

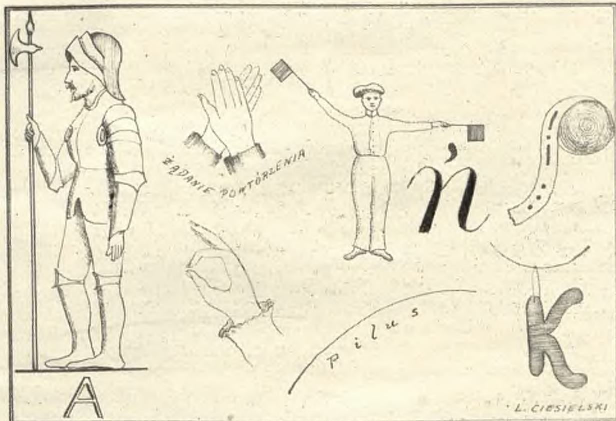
H. L.



Hanka Ordonówna.
Igo Sym.

Fot. „DORYS" — Warszawa.

MIRA ZIMIŃSKA.

Mira Zimińska, artystka scen warszawskich.
Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

Pętała się przy teatrze w Płocku w latach szczeniackich, no i naturalnie, marzyła o scenie. A właściwie nie marzyła, tylko powiedziała sobie: „Będę grać w teatrze". Była to nieodwołalna decyzja już wtedy upartego kozła, jakim została do chwili obecnej Mira Zimińska. Dzięki temu uporowi dostała się na scenę operetkową w Radomiu, a stamtąd wskoczyła wprost do „Qui pro quo", który to kabaret był wtedy marzeniem marzycielek, marzących o „blasku kinkietów" i karjerze „gwiazdy". Wskoczyła — w gniazdo os, bo tak zawsze bywa, gdy nieopierzone pisklę teatralne wpada między zespół gwiazd. Grała „ogony", a jedynem jej marzeniem było, aby którakolwiek z koleżanek... zachorowała, bo wtedy dostawała „zastępstwo" i podskakiwała o jeden szczebel w długiej drabinie teatralnej. Dzięki chorobom koleżanek zaawansowała w hierarchji kabaretowej na tyle, iż w słynnej rewji p. t. „Hallo! Ciotka!" została commère'ą Konrada Toma w konferansjerce. Konrad Tom uprzedził ją, iż on będzie mówił dowcipy, a ona będzie się z nich śmiała. Pokutujący w Mirze kozioł i rodząca się w niej „żmija teatralna" nie zgodziły się na takie postawienie sprawy. I zdziwiony Tom otrzymał od Zimińskiej po każdym dowcipie zamiast śmiechu — głupie zapytanie: nie rozumiała, o co chodzi w dowcipie. Tom zaczął odpowiadać, Zimińska nie pozostała mu dłużną, i wynikła z tego pierwszorzędna konferansjerka, w której Mira po raz pierwszy wykazała swój własny styl irracjonalnego dowcipu i humoru. Wygrała. Zaczęło się wymarzone „wielkie życie" teatralne. Od roli do roli Zimińska wysunęła się na czoło zespołu, wypychając dawne swe konkurentki, aż wkońcu stała się członkiem niezastąpionej trójki: Ordonka, Pogorzelska, Zimińska. Specjalnością jej była groteska w najnowocześniejszem tego słowa znaczeniu, zarówno wesoła, jak i sentymentalna, przyczem należy przypomnieć perełkę kabaretową, skecz Tuwima „Cokolwiek Chopina". W skeczu tym, obok Zimińskiej, zabłysnął talentem groteskowym Dymsza i para ta przez szereg lat, poparta twórczością Hemara, stworzyła szereg majstersztyków kabaretowych. Zdawało się, iż Zimińska osiągnęła swój szczyt i spocznie na laurach. Ale kozioł nie spał. Jeszcze wyżej, jeszcze wyżej. Zamarzył się jej teatr dramatyczny. No i postawiła na swojem. Po paru rolach mniejszych wygarnęła w Teatrze Ateneum „Pannę Maliczewską" — i była dobra. Potem poszła rola żony w „Małym domku" (Teatr Kameralny), z dużym, długim sukcesem, a w ostatnim sezonie — rola tytułowa w „Madame sans gène". W międzyczasie Zimińska opracowuje sobie wieczór retrospektywny piosenki kabaretowej, począwszy od epoki Zimajerki do czasów ostatnich, i w okresie paru miesięcy zapełnia dwanaście razy salę IPS'u. Sama wypełnia cały wieczór, zmieniając błyskawicznie kostjumy do każdej piosenki. i musi na zakończenie dorzucać po kilkanaście bisów. Gdyby kozioł nie poniósł Zimińskiej do Teatru Aktora, gdzie, oprócz „Madame sans gène" grała jeszcze w „Moralności pani Dulskiej" (Juljasiewiczowa), „Chicago" i w „Chorym z urojenia", mogłaby swoje recitale kabaretowe dawać drugie tyle razy. Słabością Zimińskiej są podwórzowe piosenki warszawskie, których zebrała kilkanaście sztuk i wcieliła do swego repertuaru, robiąc z nich majstersztyki.

Ale Zimińska nie jest tylko aktorką. Posiada zachłanność, którą chciałaby objąć wszystkie dziedziny oddziaływania na życie. Pasjonuje ją zarówno literatura, jak i polityka lub problematy ekonomiczne. Czyta dużo i wszystko, robi z głowy swej małą encyklopedję, a mechanikę mózgową posiada bardzo lotną. Mogłaby prowadzić salon literacki lub polityczny, jak wielkie Egerje w dawnej Francji. Porusza się w życiu, w zawrotnem tempie, ani chwili nie może pozostać spokojna, robi wrażenie maklera giełdowego podczas wielkiej haussy, a że posiada niesamowity dowcip i ostry język, więc uosabia poniekąd wibrację współczesności.

Jednem słowem Zimińska to jest... Zimińska. Bo takie kobiety istnieją tylko w jednym egzemplarzu...

Old Goj.

Rebus aktualny

sześciowyrazowy o literach początkowych: W, a, w, w, n, w.

(Ułoż. L. Ciesielski — Warsz. Klub Szaradz.).

Przyroda żali się wokoło... Szarada.

(Ułoż. „Junowa" — Warsz. Klub Szaradzistów).

Moc jakaś **trzy** mnie **raz** tajemnie
w te **raz-dwa-trzecie** dnie upojne —
i wypowiadam smutkom wojnę,
nie chcąc iść z niemi w mroków ciemnie.
Przyroda żali się wokoło
czwór jesień mknącą z dali pustej,
że z drzew poździera **piąte-szóste**
i smutkiem zaćmi ludzkie czoło!
Lecz mnie na przekór tej rozterce
w której drżą z lęku złote drzewa,
świetlana jasność myśl owiewa
i siłą życia tętni serce.
Bo wiedzie **szóste** sen mój złoty
tam, gdzie jest lepsza **piąta-czwarta**,
gdzie szczęściu droga jest otwarta...
Z niej wracać nie ma się ochoty!...

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań, redakcja „Światowida" przeznacza

TRZY NAGRODY.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 X. 1935.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 5 października 1935 wraz z załączonym kuponem.

Trafne rozwiązanie zagadek z N-ru 36 nadesłali:

Dr. Helena Opielińska, Środa; Józef Stefańczyk, Pabjanice; Zdzisław Pałuszyński, Pabjanice; Władysław Zioło, Zielonka; Jadwiga Świerczyńska, Lwów; Zofja Tryhubczakówna, Rzeszów; Stanisław Kaszubski, Dobre; Witold Ustaszewska, Warszawa; „J. Alis", Warszawa; Bogusia Mendralówna, Kraków; Stanisława Domagalik, Będzin; Jasia Markowski, Warszawa; „Wilnianin", Wilno; Teofil Sobecki, Poznań; Jan Maziarz, Ozorków; Jola i Hala Kowalczykówne, Łódź; Zbigniew Block, Poznań; Wacław Tyblewski, Poznań; Stanisław Nowicki, Poznań; Marjanna Granusz, Poznań; L. Ogrodzińska, Kraków; Inż. Tad. Kubiczek, Chorzów; Czesław Mączewski, Piotrowice Śl.; **Eugenja Mączewska, Piotrowice Śl. (zł. 20.—)**; Feliks Brosławski, Baranowicze; Jan Badura, Szopienice; Zofja Korzeniowska, Warszawa; J. Aleksiejewa, Białystok; Z. Wiśniewski, St. Łapy; Tadeusz Chaszczyński, Żółkiew; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Tadeusz Abramowicz, Warszawa; Helena Uśpieńska, Warszawa; Józef Urban, Targanica; Janina Nowakiewiczówna, Ruda Pabjanicka; Władysław Ostrowski, Żywiec; Zofja Maksymowiczowa, Lwów; Mery Piwowarczykowa, Borysław; Karol Łukasiewicz, Brzeżany; Nika Kostyrkówna, Jarosław; Irena Lewicka, Lwów; Otylja Głupiówna, Czechowice; inż. Zygmunt Łabęcki, Chorzów; Michał Adamczyk, w Skórcu; Marja Ochońska, Żywiec; Maryśka Rollówna, Bydgoszcz; pchor. St. Łazarewicz, Warszawa; Lesław Żukotyński, Otwock; Hala Briańska, Wilno; Roman Kiwacz, p. Panki; Hanka Iwaszkiewiczówna, Kraków; Leszek Starostecki, Łódź; L. Ludwikiewiczówna, Szczawnica; Antoni Mieczkowski, Wilno; Zofja Fiutkowska, Warszawa; Marja Strubel, Warszawa; Filek z Baranowicz; Wanda S.; Jan Lubowicki, Kraków; Jerzy Zapiór, Kraków; Marja Baworowska, Klimiec; Irena Senze, Żychlin; Edward Protasewicz, Wołomin; Jadwiga Kwiekowa, Dobrzelin; Halszka Koczorowska, Poznań; Tadeusz Brzeziński, Warszawa; Józef Winer, Kalisz; Wojciech Ciepiela, Kraków; **Zygmunt Pieracki, Wilno (zł. 10.—)**; Kazimierz Młyniec, Kraków; Malwina Kozubska, Kraków; Irena Rutkowska, Mińsk Mazowiecki; inż. Jan Lange, Boernerowo; Jawnuta, Słonim; Józef Imbierowicz, Szopienice; Anna Loeglerowa, Lwów; Marja Bugajska, Skidel; Marja Flisarska, Kraków; Władysław Nycz, Szelków Nowy; Łucja Pannenkowa, Lwów; Zygmunt Łebek, Miechów; Tad. Trąbczyński, Łódź; Zofja Peńska, Radom; W. Majewski, Warszawa; Włodzimierz Tyszkiewicz, Poznań; kpt. Antoni Bieganowski, Łomża; Marjan Feduszka, Stanisławów; Stanisław Wojciechowski, Kraków; Irena Pojedyńska, Warszawa; dr. L. Rozenman, Zamość; Jerzy Bielesz, Kraków; St. Mikowska, Warszawa; Zygmunt Tietz; Warszawa; Józefa Drabikówna, Warszawa; Czesław Błażejewski, Ząbki; Tadeusz Wiśniewski, Kraków; Izydor Feldman, Kraków; Kazimierz Wojciechowski, Wieluń; Wiktorja Pardyka, Warszawa; H. Chmielewska, Starogard; W. Nose, Anin; Kazimiera Ćwiertniakówna, Zakopane; Feliks Frącz, Łazy; W. Szałupin, Równe Woł.; Józef Pazgier, Pabjanice; ppor. Kazimierz Hrynkiewicz; Nyszka z Barwałdu; Julja Mińcówna, Kalisz; Antoni Sierociński, Warszawa; Kazimierz Domieracki, Mogilno; Helena Zielińska, Starachowice; Bronisław Morawski, Katowice; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Follek Rajmund, Rybnik; K. Bielińska, Sadowie; Wł. Hahorkiewicz, Skawina; Bronisława Ramułtowa, Jeżów; Katarzyna Dembicka, Stryj; inż. J. Modrzejewski, Łącko; Rena Ustaszewska, Warszawa; Edward Król, Łódź; Marjan Jagusiński, Kraków; Stanisław Malaga, Rzezawa; Kazia Tynkówna, Lwów; „Marjanek"; **Otylja Dejówna, Przysucha, pow. Opoczno (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 X. 1935)**; Ludwik Wawrzyczek, Kończyce Małe; Józef Gołębiowski, Kraków; Mieczysław Drozd, Krynica; Józef Misiołek, Łężyny; Marja Gawryleni, Baranowicze; „Bebe", Baranowicze; Bronisław Kaczmarczyk, Wolsztyn; Bożenka Olewska, Warszawa; Edward Filarski, Chełmno; Ksawery Krasicki, Lesko; dr. W. Womperski, Starachowice; Józef Ruta, Wieluń; Irena Pardyko, Warszawa; Halina Bugajska, Poznań; Marjan Taras, Stryj; L. A. Rudkowski, Ciężów.

Nagrody otrzymali pp. Eugenja Mączewska, Piotrowice Śl. (zł. 20.—), Zygmunt Pieracki, Wilno (zł. 10.—), oraz Otylja Dejówna, Przysucha (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 X. 1935).

Nagrody pieniężne redakcja „Światowida" prześle niebawem.

Rozwiązanie z Nr-u 36.

SZARADA 1: Typy kobiece na letnisku.
2: Umiłowanie piękna.

BEZPŁATNE PORADY

Z DZIEDZINY KOSMETYKI, HIGJENY i KULTURY FIZ.
pod redakcją MARY MAYER
kierowniczki szkoły i atelier kosmetyki
W WARSZAWIE, KRÓLEWSKA 2

IRENA P. Z ŁODZI. Bardzo Panią przepraszam, że tak długo czekała Pani na odpowiedź. Niestety, sprawa Pani wymaga dłuższego leczenia i dużej woli z Pani strony. Nie można tak łatwo zniechęcać się. W organiźmie pewne procesy odbywają się bardzo powoli. Drożdże może Pani pić bez obawy dla zdrowia. Ale nie wiem czy to przyniesie pożądany skutek. Bardziej wydaje mi się skutecznem byłaby serja zastrzyków autohemoterapeutycznych. I poza tem z pół roku zabiegów kosmetycznych, opartych na rozmiękczaniu zrogowaciałego naskórka, oczyszczaniu gruntownem, wzmożeniu lepszego ukrwienia. Kwestja diety jest także bardzo ważnym czynnikiem przy zwalczaniu zastarzałych spraw łojotokowych. Unikanie mięsa, zwłaszcza wędlin, wieprzowiny, śledzi, alkoholu, czarnej kawy i wogóle kawy, ostrych serów, przypraw korzennych musi się stać prawem rządzącem w Pani menu. Posiada Pani włosy szatynki, a chciałaby Pani zmienić je na kolor czarny. Chce Pani być brunetką. Apeluje Pani do mego serca, ale moje serce mi mówi, że Pani chce źle zrobić. Bronzowy kolor włosów jest bardzo ładny, a jeśli włosy są dobrze utrzymane i wypielęgnowane — to każdy kolor będzie piękny. Poza tem podczas wyprysków i liszaji na twarzy żadnych farb do włosów nie wolno stosować. Może się to przykro skończyć! Narazie radzę zwrócić się do lekarza z prośbą o zastrzyki, względnie jeśli uda się Pani być w Warszawie (może u rodziny, znajomych) to najlepiej osobiście zwrócić się do mnie i wtedy już napewno coś poradzimy.

PANI M. HER... Z POZNANIA. Nie wiem czy sprawa Pani cery jest jeszcze aktualną? Odpisać na list Pani nie mogłam, ponieważ w lipcu i sierpniu nie przyjmowałam. Gdyby Sz. Panią interesowała jeszcze moja porada, skierowana do domu, czy udzielona na łamach „Światowida" to uprzejmie proszę się odezwać.

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

WIELKIE ŁOWY W PUSZCZY RUDNICKIEJ



W tych dniach P. Prezydent Rzeczypospolitej bawiąc ze swą Małżonką na polowaniu w Puszczy Rudnickiej zabił wspaniałego łosia. Bliższe szczegóły na stronie 6-tej